Świat Kobiecy

ROK X 15 GRUDNIA 1930 R. N-R 24



SWOIM WSPÓŁPRACOWNIKOM, PRZYJACIOŁOM I ABONENTKOM

NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

SKŁADA REDAKCJA

DO CZYTELNICZEK!

Kończący się rok jest dla „Świata Kobiecego” datą jubileuszową, zamyka bowiem okres dziesięcioletniego jego istnienia. W ciągu całego tego okresu staraliśmy się nieustannie o podniesienie wartości naszego czasopisma, o postawienie go na poziomie europejskim — i stwierdzić możemy bez przesady, że usiłowania te wydały pożądane owoce. Obecnie jest „Świat Kobiecy” zarówno pod względem treści, jak formy, pismem mogącem zadowolić nawet najwybredniejsze wymagania.

Łamy jego zasilają pierwszorzędne talenty literackie, przyczem nie ograniczamy się jedynie do piór kobiecych, uważając, że w kwestjach artystycznych i wogóle w dziedzinie ducha nie istnieje podział twórców na płci.

Dział społeczny i sprawy kultury zajmują w „Świecie Kobiecym” należne im miejsce, mimo że będąc pismem o typie żurnalowym, musi on poświęcać wiele uwagi i staranności praktycznej stronie życia i kwestjom toaletowym. Obok omawiania aktualnych problemów społecznych, poświęcamy stale miejsce krytyce artystycznej, literackiej i teatralnej.

Specjalny kącik przeznaczamy w każdym numerze pisma na wskazówki higjeniczne i kosmetyczne, które cieszą się szczególnem uznaniem i zaufaniem Czytelniczek. Również nasze uwagi na temat obyczaju towarzyskiego znalazły w szerokich kołach wielkie zainteresowanie. Zwrócić też należy uwagę na stronę ilustracyjną pisma; każdy prawie artykuł ożywiają i uzupełniają bądź to artystyczne, oryginalne rysunki, bądź też doborowe zdjęcia fotograficzne, dział mód zaś ilustrowany jest bogato pięknemi, jedno- i wielobarwnemi modelami. Kącik praktyczny jest dla pań domu niewyczerpanem źródłem pożytecznych rad gospodarskich. Nie zapominamy też o potrzebach mężów naszych Czytelniczek i dajemy w dziale „Cośniecoś dla panów” wybór modeli mody męskiej, pamiętając, że zwyczaj towarzyski i konieczność staranności w ubraniu każą i mężczyznom dbać o wygląd zewnętrzny.

„Świat Kobiecy” stara się o utrzymanie stałego kontaktu ze swemi Abonentkami, zapomocą odpowiedzi redakcji, w których podaje wszelkie żądane informacje listownie lub w druku. W zakresie robót ręcznych znajdują amatorki igły wiele estetycznych wzorów. Uwzględniamy też szeroko dział kultury wnętrz, dostosowując nasze wskazówki do nowoczesnych wymogów i potrzeb naszego społeczeństwa. Pamiętając o zdrowem haśle samowystarczalności naszego państwa, zwracamy stale i systematycznie uwagę Czytelniczek na źródła krajowej produkcji. Przy sposobności przeprowadzonej ankiety na temat: co myślą Czytelniczki o „Świecie Kobiecym”, otrzymaliśmy wiele wyrazów uznania. Obecnie prosimy o dalszą życzliwość, wyrażającą się zarówno stałą prenumeratą pisma, jak też zjednywaniem mu coraz większych kół abonentek przez polecanie go swym znajomym. Stała prenumerata pisma jest o wiele korzystniejsza nietylko ze względu na wygodę i możność utrzymania z pismem kontaktu dla obu stron tak sympatycznego, ale także z powodu prawa do premij w postaci wartościowych książek lub też „Almanachów Świata Kobiecego.

OD WYDAWNICTWA

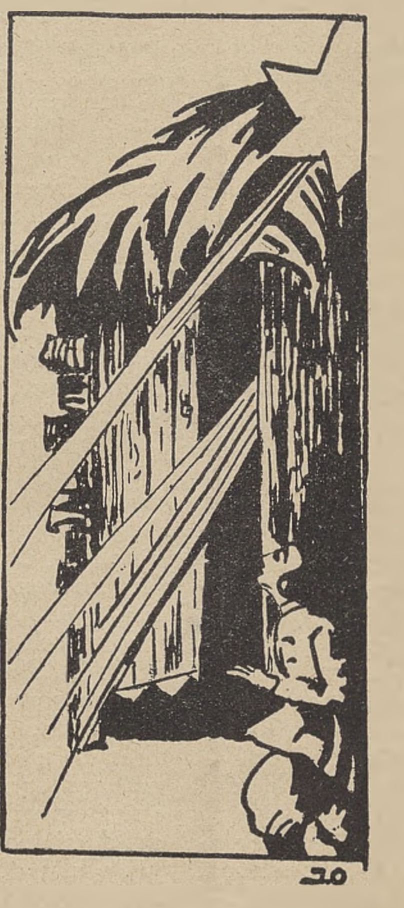
TREŚĆ VI ALMANACHU NA ROK 1931

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 24 — ROK X — WARSZAWA — LWÓW — 15 GRUDNIA 1930 ROKU

SZOPKA

— — — — — „była więc osóbka pana Jezusa a na boku Maria i Józef, stojący przy kolebce, w postaci nachylonej, affekt natężonego kochania i podziwienia wyrażającej. W górze szopki pod dachem i nad dachem aniołkowie unoszący się na skrzydłach jakoby śpiewający: Gloria in excelsis Deo”. — — — — — — — — — — —



Taka była szopka. Zawsze taka. Ale najpierw mówiono w domu: bądź grzeczna, zobaczysz szopkę. A potem był pośpiech rannego ubierania (buciki nie chciały, naprawdę nie chciały się zapiąć). Potem rzut oka do salonu, czy choinka jeszcze jest. Jest, pachnie, tylko jakaś inna jak wczoraj po wilji. Brzydsza. Czemu? Ukradkiem urwany cukierek najładniejszy, czerwony i śpieszny tupot drobnych nóg!

A na ulicy śnieg! O, co za śnieg! Jak cukier, biały, skrzący, miałki. A niebo takie niebieskie, jak szarfa przy białej sukience. Prawda mamusiu? I śnieg nigdy jeszcze nie był taki jak dziś, prawda? Taki jakiś nowy. Czy daleko jeszcze do kościoła? Czy szopka będzie taka, jak mamusia czytała? Drżący niepokój oczekiwania, ciekawości i sto zagadujących pytań.

Przed kościołem ruchliwa, potrącająca ciżba. Wchodzą, wychodzą. Śnieg zdeptany, wystają oślizłe kocie łby. Przejść trudno, mamusia ciągnie za rączkę. Stopnie jeden, dwa — i kościół. Trzeba się jeszcze przepychać. Od ludzi pachnie kadzidłem i mokrym kożuchem. Jak nieznośnie. Przekręcona kapuza zasłania całkiem jedno oko. A mamusia ciągnie.

Na chórze organista śpiewa:

To szopka to-o żłóbek —
Czy widzisz tam, o tam, o tam —

Gdzie szopka? Organista był niedawno z opłatkami. Ma bardzo duży i czerwony nos. Właśnie przez ten nos tak śpiewa. Wtem, zrobiło się jasno. Bardzo jasno, złociście. Z poza pleców, głów, łokci, zalśniło i spłynęło światło z góry. W mrugające oczy posiało sto okruszyn-szczegółów, szarpnęło gwałtownie sercem i nagle, jak grot utkwiło w obudzonej świadomości. Szopka.

Tak, wszystko jest tak samo. Dach jest kryty słomą, czy może tylko — jasnością. Święty Józef jest i Matka Boska. Jest wół i osiołek. Nie widać żeby chuchali. Ze wszystkich stron zlatują się aniołowie i śpiewają. A może to tylko organy. W samym środku jest żłóbek i na sianku leży Dzieciątko. Unosi rączkę i główkę. Czy to światło tak migoce, czy cała szopka unosi się, ale nie można dobrze zobaczyć. Wszystko błyszczy, świeci, kołuje i nie widać, czy dzieciątko śmieje się. A może płacze z zimna?

Oczy wpatrzone chłoną, chłoną i tłok pytań ciśnie się na usta. Ale nie można. Matka ma twarz jakąś dziwną, obcą. I wogóle zapytać nie można. Nie pozwala oddech zaparty w małej piersi, z podziwu. I wzrastająca jakaś wielka niezaradność, jakaś trwoga ściskająca ramionka, czy to — tam, tak naprawdę.

Czy Jezusowi zimno? Może płacze? Więc czemu wszyscy się cieszą?

Szopka płonie światłem, otwarta szeroko. Oczy niezmrużone zachodzą łzami a pytania nieokreślone, nieuchwytne, zamykają w duszyczce ciężkie wrota podwójnej tajemnicy, radości i cierpienia.

„Mamusiu chodźmy już, chodźmy zaraz”. Trzeba stąd uciekać, prędzej. Trzeba iść z kościoła. Blask znika i olśnienie, a falą nagłej trzeźwości zalewa głos z chóru zawodzący śmiesznie:

„O nędzna Ewo, o mizerna Ewo,
Cóżeś uczyniła, wszystekeś świat zdra-
[dziła —
Zasmucona i zmartwiona —
Choćbyś też i nie chciała —
Robić będziesz musiała — — — —”

Cichy był powrót z kościoła, a potem jeszcze cichsze dumanie pod choinką. Do pudełka odłożyło się skrzętnie najlepsze kąski tortu, rumiane jabłko, czekoladkę i lalczyny ciepły kaftanik. Dla Jezuska. Ale na drugi dzień było już coś innego. Jeszcze ważniejszego. „Tamto” odsunięte w najodleglejszy zakamarek pamięci żyło podświadome, przyczajone, aby po latach — wyjść jako wspomnienie i stanąć ubogo u drzwi szopki. Bez olśnienia pierwszego zachwytu, bez złudzeń cudowności patrzeć jednako bezradnie na zawsze zamknięte drzwi tajemnicy radości i cierpienia.

„O nędzna Ewo, o mizerna Ewo —
Cóżeś uczyniła —
Wszystekeś świat zdradziła —
Czyliś mało miała —
Żeś zażywała —
Owocu bronionego —”

J. O.

KU KONSTRUOWANIU ŻYCIA

ZDAJE się, że już kończymy okres rozkładu wartości, że już się zbliżają Boże narodziny nowego składającego się życia.

Zapewne, dla wielu tworzących w sztuce, dla wielu myślących politycznie i społecznie takiego czasu analizy każdej dotychczasowej syntezy prawie że nie było. Trwali na pewnych ustalonych wiekami pozycjach przeszłości, w pełnem przekonaniu o ich prawdzie i trwałości, nie iżby byli głupsi i ciemniejsi, tylko, że obok sangwinicznego, ruchliwego typu człowieka - burzyciela z wiecznem Liberum veto w piersi płonącej najszlachetniejszemi pragnieniami wyjścia poza siebie, poza naszą ograniczoną ludzką naturę, współżyje równocześnie statyczny, spokojny typ człowieka - stróża tych istotnych zdobyczy cywilizacyjnych, które dlatego są trwałe w zasadzie, że wyrosły z niezmiennych fundamentów naszej organizacji duchowej i fizycznej.

Ale, że przywykliśmy nazywać życiem to wszystko, co się porusza naprzód po powierzchni ciągle zmienną falą, roziskrzoną migotliwie diamencikami rozpalających się i gasnących myśli w bielejącej pianie rozszumiałych namiętności — więc owe spokojne pokłady głębnych wód są pozornie poza życiem, niby się nie liczą, choć przecie są fundamentem.

Anarchiczny rozkład objął wszystkie sztuki z wyjątkiem architektury, bo ta z natury przedmiotu, z oporu materjału, z powodu niemożliwości fizycznej przezwyciężenia prawa ciężkości musiała po staremu budować zdołu do góry, czyli nie mogła wyjść ze swej przyrodzonej skóry. Ale wszystkie inne sztuki poczęły uciekać od samych siebie, wstydzić się dotychczasowej formy wyrazu, burzyć ją docna, szukać nowej inkarnacji. Poezja próbowała porzucić konstruowanie myśli, przeżyć wyobraźni, artystyczne konstruowanie uczuć, nazwała to scholastyką i bebechizmem, upatrując poezję w analizie wyrazu na jego wartości czysto dźwiękowe, oderwane od jego treści myślowej i uczuciowej, w jakiejś jasno nieokreślonej czystej formie, czyli poprostu z poezji chciała robić per fas et nefas muzykę. Muzyce znów zachciało się wyzwolić z określonej gamy dźwięków, z akordu, z architektoniki melodyjnej frazy, z tych wszystkich środków artystycznego wyrazu, które działają wzruszająco na naszą uczuciowość przez skoordynowanie irracjonalnego rytmu, irracjonalnej melodyki duszy naszej z rytmem i melodyką muzycznego zdania i zamiast tego wszystkiego, przy pomocy nieokreśloności tonacji, rytmiki i frazy działać *wyłącznie* na te wewnętrzne organy naszej jaźni, które do życia potrzebują metafizycznych nastrojów nieokreśloności, kosmicznego anarchizmu.

A więc znowu wyszła z roli, jaką odgrywała dotychczas, byle tylko być dalej od siebie.

Malarstwo pozazdrościło Platonom i Kantom zaglądania w idee rzeczy, w rzeczy same w sobie i zamiast dawać, jak dotychczas artystycznie przekonstruowaną i przez filtr wewnętrznego wzruszenia przepuszczaną widzialność, usiłowało widzialnemi środkami, „malować" niewidzialność, co jest sprzecznością samą w sobie, więc się najprędzej złapało na swym złym uczynku i powróciło do formy z przesadną często gorliwością nawróconego.

Nawet taniec nie wytrzymał w tej powszechnej bieganinie za „nowem" wcieleniem. Wzbudziła się w nim mesjanistyczna pycha upośledzonego, zaczął pakować się z bosonogą Izadorą na pierwsze miejsce przy biesiadnym stole Sztuki i zamiast wyrażać gestyką i rytmem ciała namiętną radość życia, począł „tańczyć" ideę braterstwa w IX-tej Symfonji i napór przeznaczenia w V-tej Beethovena.

A teatr? Ten znowu nawymyślał dotychczasowemu dramatowi od aktoróbstwa, przestarzałego konstruowania akcji i zabrał się do analitycznego pokazywania na scenie nieskoordynowanych syntetyczną myślą autora okruchów rzeczywistości.

Wszędzie bunt przeciwko wszelakiej architektonicznej syntezie, wszędzie pragnienie wyjścia poza siebie, poza własną naturę. Nie można tym próbom odmówić wielokrotnie osiąganego piękna. Bunt wogóle ma walory romantycznego piękna; pięknem przedewszystkiem jest to arcyludzkie, odwieczne pragnienie wyjścia z samego siebie, metafizyczne wyzwoliny z określoności, z kształtu, z normy. Tylko że bunt nie może być trwałą i jedyną postawą duszy naszej. Tkwiące w nas odśrodkowe, ku nieskończoności i nieokreśloności prężące się siły nasze, muszą być równoważone dośrodkowem parciem ku skończoności i określoności. Inaczej pękłyby ściany jaźni.

Bunt jest naruszeniem równowagi spokojnej, rzeźkiej, wesołej, jest bolesnym wysiłkiem, po którym odczuwamy potrzebę wypoczynku na nowej określonej formie. Odczuwamy tem więcej, im duszę mamy bardziej spokojną, głębszą, bardziej osiadłą, związaną z ziemią, z której rośniemy ku słońcu. Bo są dusze wiecznie tułacze, niespokojne, dusze koczownicze — komiwojażerskie. Te nie odczuwają potrzeby wypoczynku, trwania na wypracowanej formie. Jakiś tragiczny niepokój, niecierpliwość jakaś pędzą je z miejsca, gdzie na chwilę rozbiły namioty, na inne, byle tylko inne, dusze wykorzenione, oderwane od pnia. Trawi je gorączka nowości ułudnej, bo treść najgłębsza człowieka pozostaje ciągle nieodmienna, a zmieniają się rzeczy zewnętrzne, forma, rytm naszego życia. Umysły tułacze biorą ową formę, ów rytm za samą treść i stąd ich ostateczna płytkość. Że zaś są w ciągłym ruchu, więc ta ich bardziej widoczna żywotność myli postronnie patrzących pozorami życia istotnego, to jest wypracowującego wartości trwałe, nieprzemijające modą i krzykiem ostatnim.

Ale to co, jak powiedziałem, osiadłe sercem i umysłem czuje dziś, coraz mocniej potrzebę postoju, odpocznienia na formalnie nowej, zorganizowanej syntezie. Aby ta synteza wyraziła się potężnie w sztuce, musi najpierw dokonać się w życiu. Dotychczas wszystko jeszcze rozłożone na jego falującej powierzchni. Ojczyzna, państwo, kodeks karny i cywilny, własność, uprawnienia jednostki, odpowiedzialność moralna, wszystko w rozkładzie całkowitym u jednych, a zachwiane w dotychczasowej pewności u drugich, spokojniejszych. Przecież rozrzucone na wiatr opiłki pojęć, wiar, ideałów zaczynają już tu i tam przymykać zpowrotem do tego magnesu, jakim jest w nas irracjonalna potrzeba jedności organicznej, zorganizowanej. Zaczyna się od konsolidacji materjalnej, ekonomicznej, politycznej. To się już widzi dookoła. Organizuje, konsoliduje najwyższa konieczność zachowania zbiorowego życia, konieczność zorganizowanej wytwórczości, tak bardzo podciętej wojną, zniszczeniem wszystkiego. Za konsolidacją materjalną pójść musi konsolidacja pojęć, wiar, obowiązków, aż ukoronuje dzieło konsolidacja sztuk; które muszą przedewszystkiem powrócić do swoich przyrodzonych łożysk, jakiemi płynęły zawsze w epokach ustalonych wartości, aż potem każda w swoim zakresie objawi się nowo zorganizowaną jednością. Poprzez mgły i opary mroków dziejowych zdaje się już słabo przeświecać betleemska gwiazda Narodzin Bożych. Przedzieramy się ku niej zygzakami dróg polnych, gubiących się w śniegu. Brniemy. Ostatecznie dojść musimy do Żłóbka, w którym Bóg rodzi się każdego roku dziejowego. Poczem przyjdzie ów pokój w jedności dla ludzi woli dobrej.

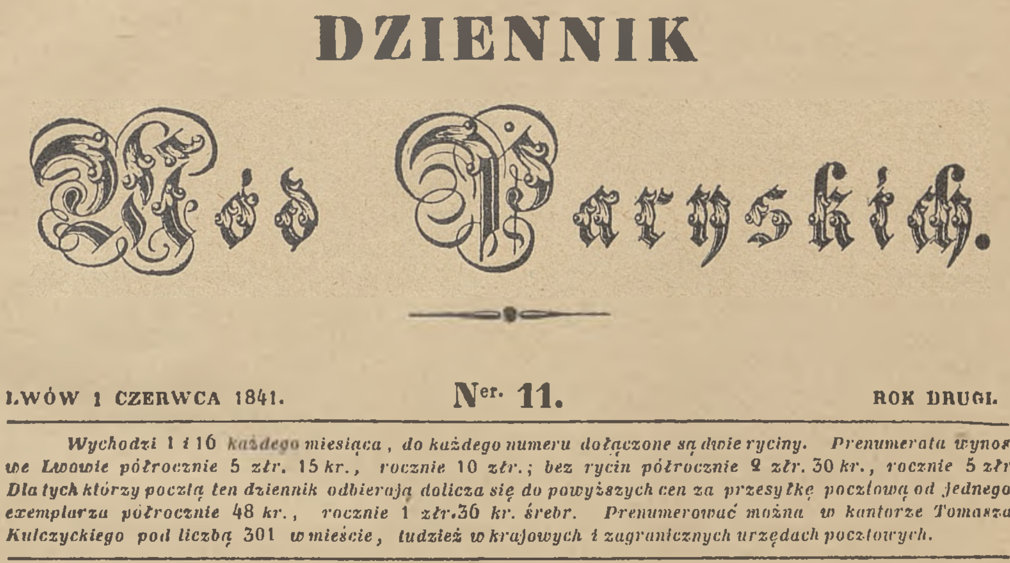
KAZIMIERZ BROŃCZYK

PO NITCE DO KŁĘBKA

CZYLI O „DZIENNIKU MÓD PARYSKICH" Z R. 1840—1848

POWIEDZENIE „po nitce do kłębka" wymyśliła na pewne kobieta. I to jeszcze w tych odległych a przyjemnych czasach, kiedy — ona — trzymała kłębek w miękkich ale silnych rączkach, a on — trzymał nitkę i po niej dochodził do ołtarza.

Dziś, dojście po nitce do kłębka oznacza raczej pewien proces myślowy. Czasem, zdarzy się przytem kobiecie, że dojdzie po nitce do całkiem innego kłębka. Tak mnie się zdarzyło.


DZIENNIK Mód Paryskich.

LWÓW 1 CZERWCA 1841. Ner. 11. ROK DRUGI.

Wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca, do każdego numeru dołączone są dwie ryciny. Prenumerata wynos we Lwowie półrocznie 5 złr. 15 kr., rocznie 10 złr.; bez rycin półrocznie 2 złr. 30 kr., rocznie 5 złr Dla tych którzy pocztą ten dziennik odbierają dolicza się do powyższych cen za przesyłkę pocztową od jednego exemplarza półrocznie 48 kr., rocznie 1 złr. 36 kr. śrebr. Prenumerować można w kantorze Tomasza Kulczyckiego pod liczbą 301 w mieście, tudzież w krajowych i zagranicznych urzędach pocztowych.

Myślałam o najmilszem z czasopism kobiecych. O „Swiecie Kobiecym". O piśmie, redaktorce, — wogóle rzeczach, których pisać nie wypada, bo wyglądałyby na pochlebstwo. Niemniej myśl moja ciągnęła się dalej, jak nitka, i doprowadziła mnie prosto i niekonsekwentnie do: jakżeż wyglądało czasopismo kobiece z przed stu lat? Pismo wydawane we Lwowie. Bo wiem, że takie było i nosiło wdzięczny a podchwytliwy tytuł „Dziennik Mód Paryskich".

Więc trochę chodzenia tu i ówdzie, poszukiwań za owym białym krukiem i oto, dzięki skarbnicy Ossolineum, żyję w redakcji „Dziennika Mód Paryskich" z przed lat omal że stu.

Redakcja mieści się w kantorze redaktora i wydawcy Tomasza Kulczyckiego pod liczbą 301, w mieście, przy placu Ferdynanda. W drugim pokoju, obok redakcji, słychać szczęk nożyc. Nie redakcyjnych, krawieckich. Bo pan Tomasz Kulczycki jest zarazem krawcem męskim. I nie byle jakim. Uczył się w Paryżu, po powrocie do kraju wydał w r. 1839 „Rozprawę o kroju sukien męskich podług wyrachowania matematycznego".

I redaktorem jest pan Tomasz nie najgorszym. Drukuje swój dziennik od 1840—1848 r., ozdobiony kolorowemi chromolitografjami przez znanego drukarza Pillera. Rysunki wykonywał p. Antoni Weidel, rysownik z akademji wiedeńskiej sprowadzony, który zbywające godziny „życzy sobie poświęcić na udzielanie lekcji rysunków, t. j. okolic, bukietów, biustów".

Z początku pismo wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca. Prenumerata wynosi półrocznie 5 zł. reńskich i 15 krajcarów. Szata zewnętrzna skromna, format miły. W trzecim roku istnienia format jest większy, druk wyraźniejszy, papier welinowy.

Ale pozwólmy mówić w nr. z 16/XII 1841 r. redaktorowi:

> Do czytelników. Zamiar mój przysłużenia się krajowi pismem w języku polskim, któreby zbyteczny napływ obcych dzienników mód coraz bardziej ograniczyć a z czasem takowe całkiem zastąpić mogło, prowadzę dalej przy pomocy łaskawej publiczności, i oto oddaję z tym numerem pod sąd jej drugi rok mego dziennika. Co do opisu strojów i wykonania rycin, starałem się zbierać to, co po wielu dziennikach rozrzucone a swoją nowością i wynalazkiem czytelników naszych zajmować mogło, dodając od czasu do czasu spostrzeżenia w tej mierze wprost przez jedną z szanownych Polek robione; lecz nieograniczyłem się bynajmniej wiadomościami tego rodzaju, owszem zastosowałem się najchętniej do upodobania naszej publiczności, która od gustowności w strojach przedmioty gustu w literaturze nieoddziela i wezwawszy ku temu pomocy u znanych i cenionych u nas pisarzów zamieszczałem, ile to w obrzębie mego dziennika być mogło, ich twory, i takowe na przyszłość z coraz większym wyborem zamieszczać będę.



Tyle pan Tomasz o swych zamiarach i poczynaniach, naprawdę nie na przeciętną krawiecką miarę zakrojonych. Co o nich sądzi publiczność, ta „która od gustowności w strojach, przedmioty gustu w literaturze nie oddziela". (Jaka szkoda, że ta nieoceniona publiczność umarła i pogrzebiona a tylko niedobitki zostały — prawda — pani Konstancjo?)

Sądu swego o dzienniku mód paryskich nie wypowiedziała niestety kobieta. Tylko ktoś stary dziś i nudny, ale wówczas i dziś jednako zasłużony, Ignacy Kraszewski. W liście do redaktora pisze:

> Jeśli się podoba, niniejszym upoważniam pana do przedrukowania jakie mu się zdadzą artykuły moje w swoim dzienniku mód. Jest on sto razy lepszy od podobnych publikacij innych, bo w nim jest staranny dobór artykułów, język czysty i myśli są i życie, gdy w innych nieznośna paplanina zajmuje kartki.

Z pism Kraszewskiego drukuje pan Tomasz wyjątki z „Szlachtografji". Czyli naukę o szlacheckich błędach. Dalej, listy o literaturze, w których czytamy np. o Fredrze:

> jak mało poznano się na jego prawdziwej wartości, tak odwracano oczy od tego co jest i nazwać się może i nazywać będzie, jak nie dziś to kiedyś — arcydziełami.

Jednocześnie ostre krytyki czyni Fredrze w swych recenzjach teatralnych — Leszek Dunin Borkowski, krytyk z urodzenia i zamiłowania. Czasem napisze rzecz, pod którą bez wstydu mógłby się podpisać którykolwiek z dzisiejszych wybitnych krytyków, zachwyci się znawstwem dusz Szekspira, „umnictwo" Scribego chwali, ale przeważnie gani, gani, gani. Teatr, sztuki, aktorów. Pozatem drukuje w „Dzienniku Mód Paryskich" swą sławną „Parafiańszczyznę".

W powiastkach obyczajowych, Władysław hr. Łoś, Bolesław Dzierzkowski i Dominik Magnuszewski coraz zapuszczają wędkę krytyki w zwyczaje, obyczaje i błędy lwowskiego i galicyjskiego światka. Tytuły powieści zachęcające i w stylu epoki. — „Pączek róży", „Róża z mogiły", „Głos serca", „Zemsta w masce", „Pan i sługa". Treść niekiedy tkliwa, rzewna, ale zawsze z kropką morału przy końcu.

Warto przytoczyć takie oto uwagi o literaturze francuskiej z jednej powieści Magnuszewskiego. (I wartoby je przesłać Boyowi.)

> „George Sand i Balzak — to trucizna cukrem zaprawiona i podana w diamentowym kielichu — — — Jakżeż? Nie Balzak i pani George Sandowa wraz z całą szkołą swej szalonej literatury jak ją słusznie nazwał Michał Grabowski, rozpoczynają ów pęd ku złemu. Biada im! ogień ich piersi nieczystych wdmuchiwa zarazę w piękne łona świeżych kwiatów naszych."

Mają chyba za swoje i Balzak i pani Sandowa, ale jest zaraz rehabilitacja, coprawda tylko Balzaka.

Język tych powieści dziwny, czasem dziwaczny. Wyrazy sklecone z dwóch, trzech, przekręcone tak, iż niekiedy zgadywać trzeba co oznaczać mają. Ale nie zawsze i nie u wszystkich. Niektóre artykuły biją świetnością stylu i czystością języka.

Z prozy, drukuje jeszcze pan Tomasz świetne ramoty Augusta Wilkońskiego, wyjątki z powieści Gorczyńskiego, szkice podróżnicze Walentego Chłędowskiego, „przypomnienia z podróży po kraju" — Augusta Bielowskiego „uwagi nad moralnemi chorobami" Z. Kaczkowskiego, sprawozdania z koncertów i wystaw w Rzymie — Paryżu.

Na łamach „Dziennika Mód Paryskich" toczą się polemiki literackie, w tonie dziś nam obcym, t. zn. bez wzajemnego wymyślania. W takim też tonie są utrzymane, choć nieraz ostrą naganę wyrażające — listy otwarte i takież są na nie odpowiedzi.



Wiadomości literackie informują o nowych wydawnictwach w Galicji, Królestwie, Poznańskiem i w polonji petersburskiej. Sprawozdania z posiedzeń Ossolineum umieszczane są stale, dokładnie, z wyliczeniem członków, tak jak przystało na sprawę tej wagi.

Grządkę poezji uprawia pan redaktor Kulczycki także skwapliwie. Drukuje poezje Wincentego Pola, Kornela Ujejskiego, Wagilewicza, wyjątki z Fausta, tragedji „Getego" w przekładzie Bielowskiego, wyjątki z dramatów Szajnochy. Niekiedy trafi się wierszyk niewieściego pióra lub niepodpisany, czuły, smętny, od ach! zaczęty i na ach! skończony.

Wogóle ze sprawą kobiecą nie jest tak lekko w tem piśmie — rzekomo dla kobiet. Do roku 1848 uderza prawie zupełny brak pióra kobiecego. Jakiś wierszyk, jakieś z werwą ale mętnie napisane uwagi o dziele p. Ziemięckiej, odpowiedź tejże i — koniec.

Pozatem — słuszne, lecz niewymownie nudne morały prawione kobiecie polskiej — przez mężczyznę. „O wychowaniu kobiet", „O wychowaniu kobiety jako matki", „Słów kilka do kobiet" i t. d. i t. d. Ileż żądań, ileż wymagań, a wzamian cóż sądzi o tej nieszczęsnej pan Jan Dobrzański w artykule zatytułowanym „Kobieta". Zaczyna od fizyki, filozofji i przez starożytność, wieki średnie, brnie z trudem ku teraźniejszości. Wszystko to w celu udowodnienia między wierszami, że kobieta jest bierna i od mężczyzny niższa umysłowo. Każe jej pielęgnować cnoty domowe a usamowolnienia szukać w rzetelnej oświacie, jakkolwiek wielkiej nadziei niema, aby jej to pomogło.

Pewne ożywienie w poważne materje dziennika wnosi anegdotyczny dział „rozmaitości".

Anonsów niewiele. Czasem, jakiś „magazyn mebli wiedeńskich" reklamuje garnitur dla „pięknej pary nowożeńców sposobny". Natomiast częste są komunikaty księgarni. Co wyszło drukiem a co jeszcze pod prasą się znajduje. Od poezji, filozofji, gramatyki — do przepisów kucharskich albo rozpraw w rodzaju:

> „Mowa kwiatów zawierająca znaczenie symboliczne roślin, zegar kwiatowy i kalendarz, mowę kwiatów wschodnią i t. p. tudzież zbiór poezij i we wstępie dzieje skrócone kwiatów; przez miłośnika kwiatów".

Ale na pierwszy plan idą w tygodniku mód paryskich mody. Jak na przynętę. Suknie grodenaplowe, grodeturowe, szale z kaszmiru, szlafroczki jedwabne szmuklersko zdobione, albo spienione riuszkami i falbanami. Raz modne są suknie z ogonami. Widziano w Paryżu a potem we Lwowie, jak damy zmiatały piasek w ulicach. Potem jako osobliwość wchodzą w modę paltoty damskie w miejsce salop. Jakiś czas przy sukniach panują wyłącznie rańtuchy (écharpe). Szale idą w kąt. Koronki modne są przez jeden sezon i może utrzymają się przez drugi. Noszone są kapelusze ryżowe, potem kapotki tiulowe, przepięte gałązką kaktusu i czepeczki à la paysanne. I kolory, kolory, wszystkie kolory tęczy w wydaniu pastelowem.

Z chromolitografowanych rycin „Dziennika Mód Paryskich", patrzą subtelne twarzyczki w otoku loków i wieńców kwiecistych. Suknie jak centyfolje, w sto fałdów barwistych rozkwitłe.

A obok wdzięczna sylwetka grzecznie ufryzowanego pana. Spodnie w paski, kratki lub centki. Frak wcięty, fioletowy, czarny, albo zielony, kamizelka w kwiatki i bardzo wysoki kapelusz. Gest — jak w pierwszem „pas" walca. Walca nad modrym Dunajem. Pan jest grzeczny i cudnie deklamuje czułe wiersze, w których słowo „ona" niezawsze kochankę oznacza. Dla wtajemniczonych oznacza — Polskę. Pan gra także na gitarze i śpiewa piosenkę o Filis i o tem co jej kochanek „mówił z westchnieniem przyjemnem. Ale czasem, czasem, pan, przemyca pod modnym burnusem pisma Karbonarów, rozkazy emisarjuszy tak, jak pan Tomasz Kulczycki przemyca polskość w swoim „Dzienniku Mód Paryskich".

Tak wyglądał „Dziennik Mód Paryskich" do roku 1848. Redaktor, Tomasz Kulczycki, drukuje wszystko, co uzna za dobre i pożyteczne dla swych czytelników. Jak w zwierciedle odbija wiernie życie umysłowe swego miasta, życie jałowe, zabite deskami represyj i srogiej cenzury austrjackiej. O wszystkiem wolno mówić, o wszystkiem pisać, tylko nie o najważniejszem. To też dziennik jest w jednym tonie, szarym, i miejscami nudny.

A w redakcji gromadzi się świat opozycjonistów. Ten, o którym śnią ze strachem hofraci wiedeńscy.

Rok czterdziesty ósmy otwiera nagle furtkę na szerokie, utęsknione horyzonty. Wiosna ludów rozbłysła nadzieją wolności. Uwięzione życie Lwowa uderza nagle wartką falą. Na ulicach okrzyki — precz — i niech żyje! I na wszystkich ustach, na kartkach wszystkich pism rozkwita słowo — Polska. Jest też to błogosławione nazwanie i na każdej karcie „Dziennika Mód Paryskich". Jakże zmieniony, jakże inny jest ton pisma. Nic ukrytego, wszystko nazwane po imieniu.

Oto tytuły: „Pierwsze swobody nasze", „Opis wypadków rewolucji u nas i w Austrji", „O wychowaniu wiejskiego ludu".

Oto listy otwarte: „List Fr. Wiesiołowskiego do towarzyszy więzienia", „Kochani bracia włościanie" — podpis, F. Cielecki sąsiad wasz i żołnierz gwardji narodowej".

Zawiadomienia takie oto: „Widowisko na rzecz więźniów uwolnionych", „O założeniu towarzystwa upowszechnienia strojów i wyrobów krajowych", „Precz z niemieckim towarem".

Wiadomości aktualne — z Rady narodowej.

A poezja? — Jeszcze Polska nie zginęła! — Co robi redaktor?

Nie może nadążyć z drukowaniem nadsyłanego materjału Pismo przemienia na tygodnik, powiększa objętość, a 17 czerwca 1848 zmienia nazwę na „Tygodnik Polski". Zmianę tę tak tłumaczy: „W myśl służenia za obraz życia umysłowego całej Polski".

A mody, gdzież są mody? Odpowiada nam głos kobiecy, który teraz dźwięczy często i dobitnie na łamach tygodnika.

> Siostry! precz jedwabie, precz koronki, precz mody. Naszą myślą wolność, naszym zbytkiem darowanie pańszczyzny, naszym strojem narodowa kokarda, ty zaś mości redaktorze zarzuć pisania o modach!

Istotnie, mody w tygodniku zajmują teraz mały zaledwie kącik na ostatniej stronie. I nie w każdym numerze jest rycina z modelami i krojem. Pani za najpiękniejszą ozdobę ma kokardę biało-czerwoną, a pan przywdział mundur gwardji narodowej.

Ale, — coś mąci się jasne zwierciadło tygodnika. Odbijać zaczyna chmury życia publicznego.

Tytuły takie: „Po zapale — rozczarowanie", „Strach ruski", „Wybory i rzezie". Wiadomości z kraju dziwne. Takie oto:

> piechota oczyściła bez trudności miejsce, przyczem jednakże uczeń Hoszowski zabitym został.

Jeden uczeń? Było ich więcej. Tygodnik prostuje wiadomość podaną wykrętnie i urzędowo przez „Gazetę Lwowską". Ofiar było więcej i różne. Nawet mały chłopczyk z bułką w zaciśniętej rączce. Zmierzcha na jasnem niebie swobód. Zmierzcha krwawo. Pani schowała kokardę biało-czerwoną, na sposobniejszą chwilę. Strój przywdziała najmodniejszy — żałobny. I z żalem odwróciła ostatnią kartkę „Dziennika Mód" z r. 1848. JANINA OSIŃSKA

GDYBY... „EUREKA"

Pewnie psy lubi, szczekanie czujne i trucht ich susów
gdy się nad światem noc niby sadza gęsta rozpostrze,
i pewnie kwiaty lubi najprostsze:
wątłą goryczkę, jaskry nad rowem, kępy krokusów.

A może nie to? może storczyków woń i anyżu?
ale co czyta? dokąd myślami teraz zawinął?
może Tomasza czyta z Akwinu,
lub co o ptakach święty Franciszek pisał z Assyżu?

A może nie to? może nocami studjuje Koran?
na kostur czeka? czy jak buntownik chwyci zarzewie?
bo ja naprawdę nic o nim nie wiem —
co tam wre w wnętrzu: bunt najjaskrawszy czy też pokora.

Modlitwa w sercu, czy może czarna, zapiekła pycha?
liść przebaczenia, czy też wspaniała jak grom pogarda
i rota w rytmie wyzwańcza, twarda?
nie wiem czy serce to dyktatora, czy tylko mnicha...

Na groźny piorun, czy też na rosę gojącą czeka,
na ziemi klęknie i powie z lękiem: „oto proch jestem",
czy też straszliwym, zuchwałym gestem
pięść wzniesie wgórę i bluźnie wściekle: „psiakrew Eureka"!!
O! gdyby w drodze wybrał to drugie! Gdyby... „Eureka".

KAZIMIERA ALBERTI

MIESIĄC W WARSZAWIE

Miesiąc to olbrzymi przeciąg czasu w życiu stolicy. Sprawy, które dziś wydają się najważniejsze, jutro stają się zapomniane i błahe, wydarzenia które dziś rozogniają wszystkie umysły, po tygodniu już nie obchodzą nikogo. Dziś już się nie mówi o sprawie Michalskiego, którą podałam do wiadomości Czytelniczek w zeszłym miesiącu, bo zamiast niej stała się aktualna i paląca kwestja Akademji Literatury. Czy rząd wyda odpowiedni dekret, kto do Akademji wejdzie, kto zostanie pominięty, czy członkowie będą płatni, czy też honorowi, oto pytania nad któremi biedzą się nietylko literaci. Oto „Wiadomości Literackie" rozpisały ankietę wśród swoich czytelników, kto powinien być wybrany do Akademji? Jak dotychczas nieoficjalnie wiadomo, na pierwszem miejscu kroczą Boy lub Kaden-Bandrowski. Toczą się też dyskusje, czy Akademja wogóle być powinna, czy ma rację bytu. Trudno tu podawać wszystkie argumenty przeciwników i zwolenników, ale to się wydaje pewne, że warto stworzyć instytucję, która zapewniłaby byt starym lub chorym pisarzom, jednocześnie stanowiąc reprezentację, z którą wszyscy musieliby się liczyć, oraz ognisko, gdzie skupiałyby się ewentualne dary, fundacje, sumy stypendjalne i t. d. Uczeni mają swoją Akademję w Krakowie i wiadomo jak ważną rolę ona odegrała w dziejach polskiej nauki.

Tymczasem w ciągu listopada ubył jeden „murowany" akademik, Włodzimierz Perzyński. Poważna to strata dla literatury, tem poważniejsza, że był to pisarz, który choć czasem zniżał twórczego lotu, zawsze był zdolny do tego by się dźwignąć i rzucić własne, świeże słowo. Ostatnia jego powieść „Klejnoty" jest nowa, śmiała, interesująca. Stawia problemat małżeństwa w sposób zgoła nieoczekiwany dla pisarza o poglądach prawicowych i zachowawczych. Małżeństwo pojęte jako związek zupełnie wolnych istot, zarobkowanie kobiety jako nieodzowny punkt „umowy małżeńskiej", macierzyństwo regulowane według woli rodziców, a nie ślepych nakazów przyrody, i nawet kompletne rozbicie rodziny — nie zakładanie wspólnego domu, oto teza powieści. Gorszyć się, oburzać? Przeciwnie należy chwalić i podziwiać. Bo nie o to chodzi, czy małżeństwo przyszłości przybierze te formy, jakie przewiduje Perzyński. Samo szukanie próby stworzenia jakichś nowych ram dla współżycia dwojga ludzi, (skoro życie współczesne rozwala stare, a praca zarobkowa kobiet zmienia dosłownie postać świata), ten wysiłek rozwiązania trudnych i nowych zagadnień świadczy chlubnie o rzetelności artystycznej zmarłego pisarza i jego humanitarnej trosce o dobro ludzi. Świadczy wreszcie o odwadze przeciwstawienia się grupie politycznej, która może zbytni ucisk chciała wywrzeć na swobodzie artysty. Ta zdolność poruszania śmiałych zagadnień, która odrazu, od pierwszego utworu wysunęła Perzyńskiego na jedno z miejsc czołowych, choć później praca dziennikarska marnowała go często i spaczała; te istotne cechy rasowego artysty okazały się znów w przededniu jego zgonu, który tem boleśniejsze wywiera wrażenie.

Odwróćmy myśli od rzeczy przykrych, pośpieszmy w ciemny, mokry dzień listopadowy do przybytku czarów i cudów, gdzie materjalizują się w bronzie, marmurze i najcudowniejszych barwach zjawy z innych, piękniejszych niż nasza planet. Chodźmy na wystawę Stryjeńskiej i Kuny. Z obrazów wspaniałej pani Zofji bije łuna i tęcza. Bogactwo barw, o jakim się nie śniło najśmielszym kolorystom, zaraźliwy, przepyszny temperament i humor, pomysłowość niewyczerpana, przepych formy i kształtu niedościgniony. Niech mi Czytelniczki wybaczą te superlatywy, uważam że to jeszcze za mało, za tę radość, za to olśnienie jakiemi poraża nasze źrenice ta wielka artystka. Stryjeńska jest unikatem nietylko u nas, ale, jak mówi moja służąca, „że wogóle". Były dotychczas utalentowane malarki, nie było jeszcze takiej, któraby mogła zająć naprawdę czołowe miejsce, stworzyć swoją szkołę, powiedzieć światu nowe słowo odkrywające nieznane horyzonty. Stryjeńska jest pierwszym w historji malarstwa przejawem kobiecego genjuszu. Nie waham się użyć tego słowa.

Obok jej obrazów stoją zamyślone, nieziemskie główki i postacie Kuny. Jest w nich liryzm nieśmiertelności, zachwycenie własnem pięknem, marmurowe i kamienne zadumanie nad znikomością świata. Ich skondensowane, subtelne piękno przenika tem bardziej im dłużej na nie patrzymy. Gdyby ktoś nieświadomy rzeczy wszedł do sali, pomyślałby że te wściekłe obrazy na ścianach malował rozhukany, upojony własną młodością mężczyzna, a te główki, te zawstydzone ciała subtelna, skupiona, kobieta. Tak to fantastycznie nieraz rozkłada się rzekoma odrębność psychiczna dwóch płci.

Otwarto jeszcze jedną obecnie wystawę-cudo w Warszawie, obrazy Wyspiańskiego. Ale nie będę pisała o Wyspiańskim, nie potrafię nic dodać do tego co o nim pisano. Możnaby tylko zauważyć, że o ile jako poeta należy on poniekąd do przeszłości, do plejady wieszczów romantycznych, to jako malarz jest wciąż nietylko żywy, ale bodaj że żywszy, zrozumialszy dla nas niż dla swego pokolenia.

Ale dość już o malarstwie. Kronika się kończy, a nic jeszcze nie powiedziałam o teatrze, a teatr przecież jest najbardziej bijącym w oczy, najbardziej publicznym wyrazem życia kulturalnego miasta. W listopadzie dwa teatralne wydarzenia godzi się zanotować. Premjerę sztuki Antoniego Słonimskiego „Lekarz Bezdomny". Rzecz ta pisana przez świetnego poetę i ciekawego publicystę była jednym z rzadkich utworów intelektualnych, granych na naszych scenach. Występuje w niej lekarz, humanitarny i mądry i dwóch wrogich mu synów, antypatycznych bencwałów: jeden tępy, w gruncie rzeczy cham, ordynus, łowca pieniędzy i drugi równie tępy komunista, mielący bezmyślnie frazesy przeczytane w broszurach. I ten czuje mocny pociąg do pieniądza. Owe trzy figury, charakterystyczne dla współczesnego życia i to nietylko w Polsce, ale obecnie na całym świecie, są nowe, ciekawe i zastanawiające na deskach teatru. Sztuka nie zyskała sobie takiego powodzenia na jakie zasługiwała. Wielkim natomiast i zasłużonym sukcesem cieszy się teatr prowadzony przez Jaracza niemal na peryferjach miasta, w ślicznej sali kolejarzy. Dwa dotychczas przedstawienia, a każde pierwszorzędne. Dobrze to świadczy o publiczności warszawskiej, że śpieszy do tego oddalonego robotniczego teatru, gdzie znalazła schronienie prawdziwa Sztuka. Ostatnio grana wyborna „Ulica" amerykańskiego autora Rice'a w najlepszym stylu „proletarjacka" i ludzka świadczy, że Jaracz jest nietylko znakomitym aktorem ale i inteligentnym kierownikiem literackim swego teatru.

Ach Boże prawda, jeszcze nagroda państwowa! Niema już miejsca aby o niej szerzej pisać. Dostał ją autor „Papierowego kochanka" i „Ptaka" — Szaniawski. Jest to komedjopisarz inteligentny i miły, ale jeżeli chodziło o nagrodę państwową to z pewnością były pilniejsze kandydatury Przedewszystkiem Boya-Żeleńskiego, oczywiście. To wielki wstyd, że ta postać na miarę europejską, najwybitniejszy z polskich współczesnych pisarzy, nie dostał dotąd żadnego dowodu uznania, dla swej gigantycznej pracy. Niema obawy: nie dostał nagrody żadnej dotychczas, nie dostanie zapewne nigdy; tej miary, tego znaczenia, tej oryginalności pisarze nigdy nie zdobywają oficjalnej aprobaty, ani stanowisk, ani nagród. I obywają się doskonale bez tego. Ale jeżeli chodziło koniecznie (jak było słychać) o wybór dramaturga, to niewątpliwie pierwszeństwo miał Roztworowski. To też decyzja jury wywołała niejakie zdziwienie.

IRENA KRZYWICKA

DOROTA ANGERMANN

DRAMAT W 5 AKTACH GERHARTA HAUPTMANNA

w lwowskim „Teatrze Rozmaitości"

CZŁOWIEK nie ma nad człowiekiem osobistego prawa sądu i prawa potępienia. Jeśli takie prawo jest, to jest przy zbiorowości, przynależy wartości wyższej, nadrzędnej jednostce — wartości społecznej. Tylko w jej imię sądzić wolno, w imię jej dobra. A nie w imię egoistycznego wyrachowania. W imię moralnej obłudy. W imię pozoru nienaganności własnego życia. I sąd i potępienie człowieka przez człowieka jest zbędne i jest — nieludzkie. Bo zła właściwie niema, a jeśli jest, to stanowi konieczność istnienia, element przyrody. Zło, rzeczywiste zło stwarza dopiero potępienie i blichtrowa, skłamana, zewnętrzna moralność.



Fot. „Dorys" Lwów

EWA KUNCEWICZÓWNA
w roli Doroty Angermann

To jest zasadnicza zawartość myślowa wystawionej przez Schillera „Doroty Angermann" G. Hauptmanna. W przebiegu realnego zdarzenia, w perspektywie przeciętnego środowiska ukazuje ona straszliwy paradoks, że moralność poczyna winę tam, gdzie jej nie było, rodzi zło, zabija dobro życia: jego jasność, czystość i prostotę. Taka moralność, która ma dwie miary: jedną dla siebie, drugą dla innych. Pobłażliwą i bezwzględnie surową. Moralność schematu, formuły. Moralność towarzyskiego i społecznego przesądu. Moralność będąca — zaprzeczeniem moralności.

Hauptmann dla demonstracji tej prawdy skupił świadomie okoliczności szczególne. Pastorowi protestanckiemu nie cudzą, ale własną, osobistą sprawę błędu córki kazał sądzić. I nie uczynił go wzorem cnót, ale człowiekiem, jak ktoś mówi w sztuce „stuprocentowym", którego roznosi bujność siły witalnej i chęć wyczerpania uroków życia do dna. Koneser kuchni i kobiet i szlachetnych cygar. Kompan serdeczny, któremu przy kieliszku nieraz wyrwie się wyznanie o świeckich zgoła przygodach. Ten pastor, gdy i na niego nadchodzi próba zastosowania w życiu miłosnej ideologji Chrystusa, nazywa ją w ustach swej dziecięcej niemal, drugiej żony — „wyuczonym frazesem". Pamięta tylko o jednem: o „marności swoich poglądów" i — „o dumie rodzinnej." Jedną widzi przyczynę: brak dyscypliny. Potępia własną córkę. Bez wysłuchania. Za sam fakt ciąży. I co ostatecznie okrutne: opłaca ją gwałcicielowi, zmusza do małżeństwa, byleby tylko uratować pozór nieskalanej czcigodności swego stanu i — wygodną posadę więziennego kapelana. Jest to jeden z najlepszych momentów sztuki (akt II) o olbrzymiej sile dramatycznej.

Od tej chwili zaczyna się straszliwa gehenna bezmocnej ofiary brutalizmu życia. Dorota zaprzedana w ręce pospolitego opryszka, wywieziona do Ameryki, skazana na przebywanie i współdziałanie z bandą rzezimieszków — stacza się na dno, zatraca godność ludzką, nie zatracając wyrazistej świadomości. Po jej stronie niema winy. Jej duchowość to jeden z mistrzowskich pokazów analizy psychologicznej Hauptmanna. Bogactwo i prawda, niezachwiana konsekwencja tej psychiki jest zadziwiająca. Posiadł Dorotę nie człowiek, którego kochała i który ją kochał, a mroził i trzymał w dystansie swoją idealizacją, ale pierwszy, który przeszedł jej drogę w momencie pełnej, psycho-fizycznej gotowości miłosnej i instynktem samca wyczuł, egoizmem samca schwycił możliwość. Więc Marjo Malloneck, „szef" kuchni hotelu pod „Czarnym Orłem", w którym Dorota (zwyczajem niemieckim) przechodziła praktykę kucharską, a nie jeden z właścicieli tego hotelu dr Herbert Pfannschmidt — naukowiec i idealista. Jego idealizm, ściślej: skłonność do idealizowania jest niezmiernie taniutka, życiowo nic nie ważąca lub fatalnie szkodliwa. Herbert Doroty nie rozumie — do końca. Człowiek z poza życia, nie — z życia. Nie rozumie fascynacji gołębiego gruchania Marja, której ona ulega, nie rozumie jej szlachetności decydującej się heroicznie, żyć bez niego i bez jego miłości, nie rozumie faktu, że Dorota (to jest jedna z najwspanialszych rewelacyj psychologicznych sztuki) staje przeciw niemu w obronie Marja, swego krzywdziciela, ale i męża, mężczyzny, do którego należy, który ją posiada, ale i jedynego wspólnika negacji świata, pastorów Angermanów. Dorota idzie po drodze tragicznej konsekwencji. Raz wyrzucona z granic swego świata, przemocą i wbrew woli wepchnięta w objęcia zła, supłająca do morderstwa własnego dziecka coraz nową winę, aż do morderstwa znienawidzonego ciemiężcy, widzi jasno, swemi „dziwnemi" oczami, że niema dla niej drogi powrotu. Lub jest powrót po to, by umrzeć. Jest już zbyt poniżona, sponiewierana w swojem ludzkiem poczuciu i zbyt dobrze widzi nicość etyczną potępiającego ją świata, podłość ojca, który nie zdobywa się na nic, prócz oschłego moralizowania, zdawkowej duszpasterskiej pociechy i przymusowych form rodzicielskiej opieki. Dorota truje się, robi, co „zrobić jedynie mogła", jak mówi brat dra Herberta — Hubert, człowiek przez okrucieństwo niezasłużonego losu zbliżony do niej, bratersko czujący. Zawiera się w tej śmierci akcent oskarżenia i pogardy, silniejszy niż ten, który dźwięczy wielokrotnie i może zbyt programowo w jej wypowiedziach w ciągu sztuki. „Jest mi tak — mówi najprościej u kresu — jakby jakaś ślepa, bezlitosna siła, jakaś fala ogromna, zalała mię całą i rzuciła gdzieś na kamienie, na skały..."

Dramat Hauptmanna pochodzi z niedawnych czasów (premjera w Wiedniu w 1926 r.), a nosi wszystkie znamiona bardzo dawnej, choć majsterskiej roboty scenicznej. Braków i obcości dla dzisiejszego instynktu teatralnego nie potrafiła w pełni usunąć nawet inscenizacja i reżyserja Schillera, który w nią włożył wielką sumę twórczego wysiłku. Jeśli się porówna tekst sztuki i jej kształt sceniczny, widzi się, jak usilnie, z jakim nakładem starania inscenizator usiłował — żeby użyć określenia Strachockiego — „wygrać sprawę" Hauptmanna przed współczesnym widzem. Dążył do tego, aby strukturę uprościć, ucelowić, ujednostajnić. Wydobyć z chaosu szczegółów jako jasny zarys. Przezwyciężyć jakieś starcze gadulstwo, nudną pedanterję, rozbijanie organiczności dramatycznej i nastrojowej.

Tak przystosowaną sztukę Hauptmanna, w typie ujęcia inscenizacyjnego i reżyserskiego Schiller zbliżył w pewnym stopniu do scenicznego ekspresjonizmu (choć może niezupełnie konsekwentnie, mniej w początkowych, bardziej w końcowych aktach dramatu). Niektóre postaci, fakty, momenty zostały świadomie obwiedzione konturem, podznaczone, dobyte z uczuciowym naciskiem Wł. Daszewski zestroił doskonale z tem założeniem stronę dekoracyjną, dając w zasadniczym charakterze realistycznym dekoracji akcenty, podkreślenia, sugestje czy w ustawieniu płaszczyzn czy w ich traktowaniu malarskiem (świetne zwłaszcza tło aktu V-go).

Poziom wykonania aktorskiego rzeczywiście wysoki. *Ewa Kuncewiczówna* pokazała grę nadzwyczajnej klasy, o wspaniałej ekspresji oczu, pełną subtelnych, trudnych do wydobycia *nuence'ów* psychologicznych, o porywającej prawdzie i wyrazistości. *Damięcki* (Herbert) dzielnie dotrzymywał jej placu: jest to najlepsza z jego ról we Lwowie. *Chmielewski* (pastor) zbyt może techniką zewnętrzną (świetną zresztą), nie skupieniem wewnętrznem dobywał akcenty tej kreacji. Na wysokości: *Brodniewicz, Konradt.* Źle się czuł i nie był sobą *Strachocki*; niezupełnie wytrzymywały ciężar ról panie: *Wiercińska* i *Kopczewska*. Przedstawienie dawno niewidziane we Lwowie.

TEATR MAŁY. „Pierwsza pani Selby", jako przedstawienie przynosi te same wartości, co reprezentacje poprzednie: staranną reżyserję *(Strachocki)*, dobre wykonanie aktorskie *(Żbikowska, Podborówna, Strzelecki, Kierczyński, Stępowski)*, estetyczną oprawę dekoracyjną *(Daszewski)*, ale posiada ten sam zasadniczy brak — obca jest dzisiejszemu widzowi tematyką, fakturą, wszystkiem. Ciągle jeszcze jest to komedja salonowa à la Fleurs, jeśli nieoperująca humorem sytuacyjnym, to — jak ostatnia — nudno, płytko psychologizująca. Trudno zrozumieć, dlaczego w teatrze tak potężnie aktywnym, poszukującym, nowoczesnym, ta scena ma stanowić rezerwat starzyzny, jakąś zbędną koncesję, której nikt nie potrzebuje, a mało kto korzysta. Trudno wdawać się w konkretne propozycje, ale zdaje się należałoby próbować czegoś zbliżonego do komedji satyrycznej Bourdeta i Pagnola, szukać treści i ujęcia bardziej zrozumiałego dla dzisiejszego czasu lub wrócić — do porządnej farsy. Dla tego teatru są tylko dwie alternatywy: albo pobudzająca, obchodząca widza treść, albo — zdrowy śmiech.

TYM. TERLECKI

NAJPOSTĘPOWSZA ORGANIZACJA KOBIECA CHWILI OBECNEJ

ZASTANAWIAJĄC się nad potężnym wzrostem cywilizacji światowej w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, uderzeni jesteśmy faktem, jak bardzo — obok rozwoju techniki i komunikacji — wpłynęła na charakter dzisiejszego oblicza tej cywilizacji emancypacja kobiety; emancypacja nie w tym wąskim i przestarzałym już sensie uzyskania praw wyborczych, ale emancypacja w sensie tego żywiołowego przejścia kobiety od ogniska domowego do fabryki, biura, szkoły, warsztatu i sklepu, od ciszy życia wyłącznie rodzinnego do zamętu problemów i walk społecznych. Jak niemal wszystkie procesy życia nowoczesnego, tak i ten pośrednio lub bezpośrednio przyśpieszyła wojna. Niemniej dopiero z chwilą wstąpienia kobiety do życia publicznego, z chwilą zabrania przez nią czynnego udziału w życiu gospodarczem, demokracja nasza uzyskała podstawę jedynie pewną i naturalną, bo obejmującą całość społeczeństw, bez wyłączania już ich połowy.

Ten żywiołowy ruch nie ogranicza się już dziś do kobiet Nowego Świata, nie ogranicza się nawet do rasy białej. Kobiety Japonji i Chin, kobiety Egiptu i Indyj biorą dziś wybitny udział w międzynarodowych zjazdach kobiecych, informując nas o postępach emancypacji w krajach, gdzie obyczaj i tradycja czyni taką akcję nieporównanie bardziej trudną niż w Europie i Ameryce.



MISS CHRYSTAL MAC MILLAN
Prezydentka Open Door International

Jednakże emancypacja w powszechnem pojęciu do dziś nie jest właściwie rozumiana. Do dziś słowo emancypacja jest przeciętnie rozumiane jako synonim walki o prawa wyborcze kobiet. Tymczasem walka o te prawa była tylko fazą emancypacji, fazą, która właściwie już mija (w Europie tylko w krajach łacińskich kobiety nie uzyskały jeszcze pełnych praw politycznych). Dążenia emancypacyjne kobiet nie skończyły się jednak z momentem osiągnięcia tak poważnych wyników w pierwszym punkcie ich programu, co do praw politycznych, — ale przeszły w następny okres, w okres kampanji może nawet szerszej, może głębiej w życie społeczne sięgającej, kampanji, której zdobycze sprowadzą za sobą nowe skomplikowane zagadnienia natury gospodarczej w życiu zwłaszcza rodzinno-społecznem. Druga bowiem, obecna faza emancypacji kobiety przybrała charakter najpowszechniejszych i najtrudniejszych problemów naszych czasów, t. j. charakter gospodarczy. Dzisiejszy, już światowy ruch feministyczny to walka o ekonomiczne równouprawnienie kobiety pracującej.

Inicjatywa do zapoczątkowania tej drugiej fazy emancypacji kobiety wyszła z Anglji, jako z kraju, gdzie dzięki dużemu uprzemysłowieniu kobieta pracuje masowo w tej najtypowszej formie pracy naszego okresu dziejowego, t. j. w przemyśle, gdzie, dalej wskutek bardzo dużego procentu kobiet zarabiających na swe utrzymanie zarysowuje się już nieraz ostro ich rywalizacja z mężczyznami o stanowiska i posady i gdzie — co niemniej ważne — kobieta oddawna już nauczyła się stać na straży swoich praw.

Kobieta jako pracownica, przedewszystkiem zaś jako pracownica przemysłowa, podlega w naszych czasach tak samo, jak i mężczyzna, t. zw. ustawodawstwu pracy. Ustawodawstwo pracy, obejmujące takie dziedziny, jak ubezpieczenia społeczne, przepisy ochronne pracy, udzielanie zasiłków bezrobotnym i t. d., jest zdobyczą myśli socjalistycznej w wyniku walk socjalnych XIX w. między pracą a kapitałem, a dziś posiada specjalny organ dla badania i ustawowego określania tych spraw, organ międzynarodowy, od r. 1919 istniejący w Genewie przy Lidze Narodów pod nazwą: Bureau International du Travail, albo po angielsku: International Labour Office. Do międzynarodowego Biura Pracy należą te wszystkie państwa, które należą do Ligi Narodów, a więc państwa Europy i Ameryki z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych, dominja angielskie w charakterze osobnych państw i t. d.; państwa te drogą ratyfikacji przyjmują gotowe już projekty ustaw o pracy, przygotowane przez Biuro. Otóż w ciągu swego dziesięcioletniego istnienia wydało Biuro Pracy szereg ustaw ochronnych dla pracy wogóle, a wśród nich szereg ustaw dla ochrony kobiety pracującej w szczególności, ustaw, ktore w jednych wypadkach zakazują jej spełniania pewnych prac, w innych zaś samo spełnianie pracy znacznie ograniczają. Ustawy te, jak się powiedziało, są wynikiem myśli socjalistycznej, wypływają z troski o dobro pracownika, w odniesieniu do kobiety jednak mają tę złą stronę, że po pierwsze, pole jej możliwości jako pracownicy znacznie ścieśniają, a po drugie, wprowadzając w pewnych wypadkach ustawowe zakazy pracy, pozbawiają kobietę należnego każdemu człowiekowi prawa decydowania dla samego siebie, traktując zarazem dorosłą pracownicę narówni z dziećmi i pracownikami młodocianymi, za których prawo musi tworzyć postanowienia, ponieważ sami są do tego niezdolni. Bezpośrednim przytem skutkiem ratyfikowania tych ustaw przez szereg państw było usuwanie całych zastępów kobiet ze spełnianej pracy, która dotąd dawała im możność zarobku wystarczającego na utrzymanie.

Wobec tego stanu rzeczy zaczęto odczuwać potrzebę stworzenia organizacji, która wzięłaby sobie za cel obronę ekonomicznych praw kobiety z punktu widzenia jej istotnych, prawdziwych interesów. Towarzystwo takie założyło kilka wybitnych kobiet angielskich w Londynie na wiosnę 1919 r. pod nazwą: The Open Door Council, Rada Otwartych Drzwi.

Nazwa ta mówi sama za siebie. Open Door, wychodząc z założenia równości mężczyzny i kobiety i wynikającego stąd konsekwentnie równego ich prawa do pracy zarobkowej, żąda zapewnienia kobiecie tych samych możliwości pracy i zarobku, jakie ma mężczyzna. Open Door nie sprzeciwia się, jak wyraźnie stwierdza w swojem Memorandum, regulowaniu warunków pracowników przemysłowych drogą ustaw i przepisów, o ile tylko ustawy te i przepisy oparte są na rodzaju pracy, a nie na płci pracownika, to znaczy, o ile są stosowane do dorosłych pracowników obu płci jednakowo. Natomiast Open Door uważa, że ustawy i przepisy, regulujące lub zgoła zakazujące pracy tylko kobiecie dla względów jej płci, wyjścia zamąż, lub macierzyństwa — nie są ustawodawstwem dla niej ochronnem, ale przeciwnie, wyrządzają jej szkodę, ograniczając bowiem jej możność wyboru pracy, wpływają na obniżenie się poziomu jej płacy, zakazując zaś jej wogóle pracy w pewnych okresach, obniżają tem samem jej stanowisko jako pracownicy, a nawet jako człowieka.

Cele Open Door Council zostały ostatecznie sformułowane w sposób następujący: *Zapewnienie kobiecie wolności pracy i ochrony jej jako robotnicy na takich*

samych warunkach jak mężczyznie i zapewnienie, aby przepisy prawne i ograniczenia odnoszące się do warunków i godzin, płacy, wstąpienia do pracy i przygotowania do niej były oparte na rodzaju pracy, a nie na płci pracownika.

I zapewnienie kobiecie bez względu na małżeństwo lub urodzenie dziecka prawa zadecydowania co do spełniania lub niespełniania pracy zarobkowej, oraz zabezpieczenie, aby żadne przepisy prawne i ograniczenia tego prawa jej nie pozbawiły.

Po linji tych celów Open Door Council zaczął działać, narazie w sposób, który jedynie był możliwy, t. j. przez protesty wysyłane do Międzynarodowego Biura Pracy z rozmaitych okazyj. Nie tylko jednak zaczął działać — zaczął się także i rozwijać. W czerwcu r. 1929 korzystając z międzynarodowego zjazdu kobiet w sprawie praw wyborczych, zwołano na parę dni przed tym zjazdem konferencję do Berlina, w której wzięły udział delegatki wielu państw. Konferencja pomyślana była przedewszystkiem jako informująca. Delegatki różnych narodów przedstawiły stan faktyczny kobiet pracujących w ich krajach, wykazując jak często szkodliwem i nieraz krzywdzącem stało się ustawodawstwo ochronne dla kobiety. Okazało się, że potrzeba organizacji jak Open Door Council była odczuwana żywo w wielu krajach* i inicjatywa angielska spotkała się z takiem uznaniem, że po parodniowych obradach ukonstytuowało się wielkie międzynarodowe towarzystwo Open Door pod nazwą: Open Door International, po francusku: L'Internationale de la Porte Ouverte. Członkinie konferencji berlińskiej reprezentowały następujące państwa: Wielka Brytanja, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Szwecja, Danja, Holandja, Niemcy, Szwajcarja, Francja, Belgja, Grecja, Węgry, Czechosłowacja, Finlandja, Indje, Palestyna.



MRS. WINIFRED LE SUEUR
Hon. Sekretarka Open Door International

Dyskusja w czasie tej konferencji, poddająca krytyce szereg ustaw ochraniających pracę kobiety, a zarazem operująca bogatym materjałem doświadczeń tylu narodów, rzuciła szczególnie jasne światło na działalność Open Door Council, przedstawiając zaś bogaty materjał porównawczy, ułatwiła w tak dużym stopniu zorjentowanie się we własnych stosunkach, że koniecznie wypada tu ważniejsze jej punkty przytoczyć.

Szczególnie ostrej krytyce poddano tu więc ustawę z r. 1919, będącą częścią t. zw. Konwencji waszyngtońskiej przesłaną rządom do ratyfikacji, przez International Labour Organisation, a zabraniającą kobiecie pracy nocnej. Referowała tę sprawę Amerykanka; wykazała ona, że kiedy w r. 1913 przeprowadzono w Stanach Zjednoczonych podobne prawo zakazujące kobietom pracy nocnej, w samym Nowym Yorku straciło pracę 400 kobiet zarabiających doskonale jako zecerki pracujące w nocy przy składaniu dzienników. Straciło pracę całe mnóstwo pracownic kolejowych i to z takim skutkiem, że jeżeli za pracę nocną zarabiały od 30-45 dolarów tygodniowo, to potem za dzienną nie były wstanie dostać więcej jak 15—18 dolarów tygodniowo. W wielkich pralniach parowych, gdzie kobiety zarabiały znakomicie, zwłaszcza przy pilnych zamówieniach, które trzeba było uskuteczniać w nocy, po przejściu ustawy o pracy nocnej, całe zastępy tych pracownic straciły zarobki. Mogły natomiast prać nocą u siebie w domu, ale tam nie miały całego szeregu tych udogodnień maszynowych oszczędzających siły robotnika, z jakich mogły korzystać w przedsiębiorstwie.

Natomiast publiczną tajemnicą jest, że olbrzymie, kilkudziesięcio-piętrowe budynki Nowego Yorku, Chicago czy każdego innego większego miasta amerykańskiego budynki zajęte wyłącznie przez banki, biura przemysłowe, agencje handlowe i t. p., zaczynają po północy roić się od gromad najuboższych pracownic, które między północą a świtem sprzątają sale i kurytarze jako w jedynej porze, kiedy budynki te są niezajęte. Ich pracy nocnej nikt nie kwestjonuje, chociaż jest nieprawna, bo ich nie zastąpiłby nikt: ich zarobki są za niskie.

W Finlandji, pomimo jej naogół małego uprzemysłowienia, pracuje jednak nocami w ogólnej sumie 12.000 kobiet. Tam też kobiece organizacje pracy, mimo osobistej agitacji p. Thomas'a, dyrektora Międzynarodowego Biura Pracy, protestowały przez długi czas skutecznie przeciwko przedstawieniu konwencji parlamentowi finlandzkiemu do ratyfikacji.

Inny punkt konwencji waszyngtońskiej z r. 1919, atakowany bardzo ostro przez Open Door i może najciekawszy w całej akcji, bo wywołujący najwięcej kontrowersyj, to przepis odnoszący się do zatrudniania kobiety przed i po urodzeniu dziecka, a zatem przepis chroniący macierzyństwo. Konwencja waszyngtońska mianowicie zabrania kobiecie pracować w przeciągu 6-ciu tygodni po odbyciu słabości, daje jej prawo opuszczenia zajęcia na 6 tygodni przed nią za przedstawieniem świadectwa lekarskiego i orzeka, że w czasie, w którym kobieta powstrzymuje się od pracy dla podanych wyżej powodów, ma otrzymywać zapomogę pieniężną, wystarczającą na dostateczne utrzymanie jej i jej dziecka, a wypłacaną z pieniędzy publicznych lub systemem ubezpieczeniowym. Wysokość tej zapomogi ma wyznaczyć kompetentna władza.



MRS. ELIZABETH ABBOTT
Prezydentka Open Door Council

Otóż Open Door zwraca się szczególnie ostro przeciw temu punktowi, który zabrania kobiecie pracy w ciągu 6-ciu tygodni po urodzeniu dziecka. W Anglji istniał taki przepis już od r. 1891, obowiązujący jednak naprzeciąg 4-ech, a nie 6-ciu tygodni, a mimo to w praktyce ani jeden inspektor fabryczny nie był w stanie dopilnować zachowania tego przepisu: kobiety wślizgiwały się do pracy jak się dało najwcześniej. Widocznie więc potrzeba zarobku w tym czasie wzmożonych wydatków była silniejsza, niż ewentualna szkoda na zdrowiu. Natomiast, kiedy w r. 1913 wprowadzono zasiłek dla wstrzymujących się od pracy w związku z urodzeniem dziecka, przekraczanie owego prawa zmniejszyło się w sposób zadziwiający. Postanowienie o wypłacaniu zasiłku nie rozwiązuje sytuacji, gdyż w wielu krajach (np. Szwecji i Belgji) jest on wogóle nie wypłacany, lub też wypłacany w niewystarczającej wysokości lub tylko matkom ślubnych dzieci. (Dok. nast.) MARY PAT

* W Holandji już od r. 1902 istniało stowarzyszenie o ideologji bardzo zbliżonej do Open Door.

AURA WYLEŻYŃSKA

Z DUSZĄ TWOJĄ NA RAMIENIU

LISTY Z HISZPANJI

z oryginałów wiernie przełożone

(Fragment)

Madryt, 14 kwietnia.

Cher Ami, — Drogi Przyjacielu!

W Palmową Niedzielę odbywa się w Toledo pierwsza, wielka wiosenna corrida de toros. Czerwone płachty afiszów z dniem każdym rosły. Coraz na nich krwawsi toreadorzy.

Zdziwi się Pan, jak się to stało, że ludzie madryccy, którzy dnia tego święcili prawdziwe palmy, kupowali bilety na loterję, hiszpańskim obyczajem prawili kobietom miłe słówka, wszyscy pojechali patrzeć na walkę byków? Jak się to stało, że ja...

Tłum oblegał Plaza de Toros niby na odpust, na jarmark, na święto narodowe, na zbratanie wszystkich stanów. Początek widowiska oznaczono na 4 i pół, ale sprzedawane za drogie pezety, numerowane siedzenia na kamiennych ławach, były o wiele wcześniej zajęte.

Miejsca w amfiteatrze podzielone są wedle stosunku do światła: sol, sombra, w słońcu, w cieniu, sol y sombra, na granicy promieni i cienia. Od tego zależą ceny, a także od wysokości stopnia, na którym się siedzi. Jedni znawcy wolą być nisko, bliżej areny, aby każdy ruch dostrzec, inni wyżej, aby móc lepiej objąć całość sceny i widowni, gdzie mieści się kilkanaście tysięcy osób.

Zaludniły się loże. Na ich poręczach piękne panie wywieszają haftowane szale, rozwijają też wachlarze. Wachlarz: trzecia ręka, trzecie oko, trzecie ucho, drugi język Hiszpanki...

Zapach mocnych, duszących perfum, które z trudem przygłusza dym cygar. Perfum używają wszyscy: kobiety, dzieci, mężczyźni, kelnerzy i konduktorzy. Nic więc dziwnego, iż niektórzy Hiszpanie perfumy mają w nienawiści...

Przekupnie sprzedają papierowe wachlarze, cukierki i wodę: Aqua fresquita! Głośna bardzo rozmowa.

W loży prezydjalnej, ubranej w barwy narodowe, żółtą i czerwoną, zasiada Infant Don Jaime i Infant Don Juan. Na wspaniałych rumakach wyjeżdża dwóch algazilów w czerni, kreza z białych koronek u szyi i rękawów. Pierwsze gońce śmierci. Kłaniając się nisko proszą przewodniczącego o klucz od womitzyow. Bezszelestnie spada w kapelusz ciężki kawał żelaza. Teraz ceremonjalnym krokiem wchodzą kwadrygi, matadorzy złoto mają na barwnych strojach, toreadorzy zaś srebro. Prawą rękę ruchem powitania podnoszą: „Ave Caesar"... Płaszcze swe odświętne, udrapowane jak togi, zamieniają na capas od pracy, karmazynowe, słońcem podbite. Tak się zdarzyło, iż kolory Hiszpanji są właśnie te, które najbadziej rozjątrzyć potrafią zwierza. Zjawiają się pikadorzy, śmiesznie zbrojni jak Don Kiszot, na koniach starych i niedołężnych, na śmierć poprzednio skazanych. A jednocześnie dozorca wielkim ruchem otwiera wrota podziemi. Wpada pierwsza ofiara, wstążki na jej karku powiewają, znamionują one, jakiego jest pochodzenia i chowu. Extra toro! Czarny, lśniący, z ciemności i ciszy rzucony nagle w żółtość hiszpańskiego słońca, w błękit toledańskiego dnia, w gwar toledańskiego ludu. Zawahał się, spojrzał na czerwone płachty, migocące przed jego zakrwawionemi oczyma i rzucił się na pikadora. Konia rogami pod brzuch uderzył, że ten zachwiał się i padł — jeźdźca ze strzemion wyrzucając — daleko. Byk konia bodzie i gotów o śmierć przedwczesną przyprawić, ale powiał wachlarz płaszcza i uwagę odwiódł w drugą stronę, A potem znów arlekiński płaszcz innego capeadora jął się nim bawić, drażniąc i wodząc, jak chce, po arenie.

Po pikadorach następuje popis banderiljerów: gladjator skocznym krokiem zbliża się i oddala, zabawowym pas jest przed bykiem i za bykiem, długo celuje w powietrzu zanim wyceluje rzutem, polecą pałeczki zakończone metalowemi haczykami, utkwią w karku zwierzęcia. Jeszcze inne banderile po nich przyjdą i inne. Gubi je w biegu rozsierdziały toro, ale w ciele jego tkwi zadatek bliskiej zguby. Krwawią się kolorowe pałeczki i wstążki purpurą oblewają. Przeciągły ryk bezbronnego już prawie protestu.

Dalej sprzedają wodę, cukierki i wachlarze.

Musica! Muzyka gra fanfarę dla podkreślenia każdego passa. Chodzi bowiem o to, aby ruch był nietylko celowy, ale aby był udały, wymierzony wedle odwiecznych zasad walki, za chwilę uwieńczonej śmiercią. Espada, matador któremu przysługuje zaszczyt złożenia przewodniczącemu zabawy ofiary z byka, zabiera się do niej, w tanecznych zawsze krokach swych ciżemków, w stroju więcej do baletnika, aniżeli do kata podobny. Kołysze się, jak wschodnia tancerka, mocno pasem w biodrach ściśnięty.

Malinowo-złoty płaszcz odrzucił, w ręku ma krwawą płachtę, — muleta — a pod nią trzyma, ukrytą, zabójczą broń. Płachtą różne nad zwierzęciem czyni dziwy, wykazując pomysłowość i odwagę, przelatuje nią nad łbem, rzuca na pysk — Veronica passo to nazywają.

Gra o życie i śmierć. Ale więcej o sławę.

Raz ostatni skoczył baletowym susem, ostrze szpady dobrze wymierzył, od szyji do gardzieli przeszła; byk zakołysał się, zachwiał, potknął i upadł. Jeszcze chwilę walczy. Ale oto nadbiega toreador i nożem zabójczy sztych zadaje. Triumfator obsypany oklaskami, powiewem białych, jak gołębie, spadłych na arenę, chustek. Za niemi idą kapelusze, cygara, pomarańcze, wachlarze i płaszcze. Kobiety tylko dlatego nie wyzbywają się klejnotów, iż znając swą namiętność w domu je zostawiają... Kłania się, odrzuca oznaki nieujętego w karby zachwytu, z bukłaku, który mu ktoś przynosi, Alikantu pije wino.

Tymczasem pole uprzątnąć należy do nowej bitwy. Wpada trójka koni, w czerwonych czaprakach, z czerwonemi pióropuszami i pomponami. Na nogi byka zakładają orczyki. Wywożą, wyciągają go. Czynią to z taką szybkością, iż rydwan śmierci ledwo piasku dotyka. Muzyka gra marsza żałobnego.

Alegria! woła tłum temu dziwnemu pochodowi śmierci. Djabelska radość! Koniuchy z krzykiem konie prowadzą biegiem.

Służba zamiata krwawą arenę. Zatartym śladem wpada nowy byk i nowe następują zapasy. Sześć razy miało to miejsce, a trwało niespełna półtorej godziny! Dobra była corrida! Imię Marciala Lalandy jest dziś pierwsze wśród matadorów.

Taka walka długo trwać nie może. Tempo jest coraz szaleńsze, coraz zręczniejsze są ciosy. Podniecenie publiczności udziela się kwadrydze. Tłum nią rządzi: wydaje rozkazy, przyklaskuje i gwiżdże, nagradza i karze. Podjudza okrzykiem „Ollé", „Ollé", który raz staje się głosem zachwytu, raz głosem oburzenia. Pod koniec widowiska napięcie nerwów jest tak silne, że albo wszystko skończyć się zaraz musi, albo nastąpi rewolucja. Niedarmo skoncentrowano wojsko Skończyło się szybko, po hiszpańsku!

Ludzie zaczynali przeskakiwać barjerę, dzielącą ich od pobojowiska, szli, biegli ściskając się i krzycząc, dążyli ku bramie, za którą schronili się zwycięzcy. Na piasek spadła też falanga dzieci, chłopcy, a nawet dziewczęta. Rzucać do siebie poczęli, na znak zachwytu, poduszeczkami z sianem, wynajmowanemi do siedzenia na kamiennych ławach, potem bić się niemi zaczęli, w dionizyjskim szale. Krzyk, piekielniejszy jeszcze, aniżeli poprzednio, rozbrzmiewał po gmachu. Rozpoczęła się nowa batalja, niespodziana. Nic tak do walki nie zagrzewa — jak walka.

Spyta się Pan, dlaczego Hiszpanie, ludzie wedle mojej opinji dobrzy i mili, lubią te zabawy? Nie wiem. Mają to we krwi, w każdym razie źli się przez to, ani niemili, nie stają. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby choć na chwilę zamarły w nich rycerskie instynkty, żeby ten tłum pozwolił dziecku krzywdę uczynić, lub uchybił samotnej kobiecie. Przeciwnie, widziałam rzecz, która mnie zdumiała. W chwili największego napięcia oczu, jakaś, niedaleko odemnie siedząca, kobieta powstała. Sąsiedzi zajęli się ułatwieniem jej zejścia, nikt nie szemrał, że przerywa widowisko, ani śmiał się, iż zamało ma odwagi. Coby Francuzi w podobnej sytuacji uczynili... Powiedzieliby, że zapłacili bilet i mają prawo wymagać, aby nie płoszono im zabawy, żartowaliby, iż jeśli nie jest się pewną swych nerwów, to lepiej zostać w domu. Coby moi rodacy... Sama doznałam wielkiego dowodu galanterji. Sąsiad zaproponował zmianę miejsca, ponieważ słup zasłaniał widok. Jakkolwiek był w towarzystwie i rozdzieliłam go z przyjacielem, któremu zwierzał się, bardzo zresztą głośno ze swych wrażeń.

Są uczucia trudne do pojęcia, tradycyjnie zakorzenione w ludziach pewnej rasy czy pewnego klimatu, naszem rozumowaniem sądzić ich nie możemy. Ale kto wie, czy zobaczywszy walkę byków pod tutejszem niebem, nie przyznałby Pan, iż jest ona piękniejsza od boksu? Tak przynajmniej twierdzą Hiszpanie, którzy boks też bardzo lubią.

A polowanie? Jest zasadzką, nierówną grą, myśliwy posiada broń i w dodatku chowa się za drzewo. Czy jest coś boleśniejszego — nawet w kinie — nad widok sfory psów, uganiających się za najbardziej szkodliwym lisem? Nie jest rzeczą bez serca — strzelać gołębie?... Dlatego, że są małe? Ryby na wędkę łowić lubią najlepsi w świecie ludzie. Kucharka zarzyna kurę, a my cieszymy się, iż dobry mieć będziemy obiad. Nie mówiąc o jatkach końskich, codzień funkcjonujących, gdzie sprzedaje się mięso najszlachetniejszego przyjaciela ludzi. I nietylko okazów do życia już niezdatnych.., Publiczność cyrkowa dopiero naprawdę wówczas się entuzjazmuje, gdy salto mortale robi się bez siatki..

Obrońcom zwierząt chodzi podobno o szybkość śmierci. Czy wiemy jakim czasem mierzą one swój ból? Czy ból nie polega na świadomości dalszego ciągu? Tego byk przewidzieć nie może — nawet gdy w karku tkwią już krwawe pałeczki. Wszystko takie względne! Ilu ludzi umiera niepotrzebnie i nierozsądnie? Właśnie czytałam o 20-letnim chłopcu, który na śmierć się na jakimś konkursie — zatańczył. Tyle jest w życiu walk bezużytecznych! Tyle — sentymentalnie mówiąc — codzień serc się krwawi, a każdy udaje, że tego nie widzi. Bo serca ukryte być winne pod zasłoną sukni.

Stanowczo za długo mówię i bardzo wątpię, czy mi Pan rację przyzna. To nic, i tak pozostaniemy w zgodzie. Różnica poglądów i przekonań mniej szkodzi przyjaciołom, aniżeli kochającym się ludziom. Ponieważ granic przez uczucia nasze zgóry nakreślonych nigdy nie przekroczymy, więc...

Jutro list skończę, dodam słówko o Toledo.

CZEM SIĘ INTERESUJĄ AMERYKANKI?

Temat obrany dla dzisiejszego artykułu stoi w pewnej sprzeczności z brzmieniem stałego tytułu tej kolumny, który możnaby tym razem nie bez słuszności trawestować na „Czem się Amerykanki nie interesują?". A zastrzegam się, że bynajmniej nie mam zamiaru ironizować, i jeśli odszedłszy od tematów o większym — że się tak wyrażę — ciężarze gatunkowym, chcę dziś poruszyć rzeczy codzienne, to daleką jestem od tego, aby szukać w nich strony humorystycznej.

Przechodzę do rzeczy. W niedawnym numerze jednego z amerykańskich czasopism kobiecych, w artykule treści ekonomicznej spotkałam ustęp następujący: „...Sekretarjat Handlu i Przemysłu podaje, że Azja wydaje 90% zarobków na żywność a tylko 10% na inne potrzeby; Europa 80% na żywność a 20% na wygody życia; Stany Zjednoczone natomiast wydają tylko 30% zarobków na żywność a 70% na uczynienie życia wygodnem i przyjemnem. Człowiek pracujący w tym kraju jest w stanie osięgnąć wyższą stopę życia prawie wyłącznie dzięki temu, że maszyny uwielokrotniają jego produktywność...".

Podane liczby są zapewne dość dokładne. Nie wątpię, że przeciętny Amerykanin wydaje tylko 30% swych zarobków na żywność. Ale w związku z tą statystyką nasuwają mi się różne refleksje i pytania, które pragnę roztrząsnąć w tym artykule; A więc, czy Amerykanin, wydając na żywność taką właśnie część swych zarobków, wydaje na ten cel dość wiele? Czy za swoje pieniądze otrzymuje on pełną równowartość w postaci żywności? Jednem słowem, czy Ameryka odżywia się wystarczająco? A jakkolwiek wypadnie odpowiedź na te pytania, jaka jest w tem zasługa lub wina Amerykanki?

Przypominam sobie następującą rodzinną naradę, której byłam przypadkowym świadkiem w czasie mego pobytu w Ameryce. Pani domu zasięgała opinji rodziny co do sposobu przepędzenia niedzieli. Ściśle przestrzegany budżet domowy przeznaczał na ten dzień taką to kwotę, wystarczającą na dobry niedzielny obiad. W takim razie jednak nie byłoby za co kupić benzyny na dalszą wycieczkę automobilową. Jednomyślnie uchwalono aby kupić potrzebną ilość benzyny, na wiktuały zaś przeznaczono resztę, wobec czego zamiast pożywnego obiadu można było urządzić tylko stosunkowo lekki lunch. Nie widziałabym w tem nic złego, gdyby chodziło o rzecz wyjątkową. Ale obserwacje moje utwierdziły mnie w przekonaniu, że takie gospodarowanie jest regułą nietylko w domu moich amerykańskich sąsiadów, ale w bardzo wielu rodzinach jak Stany Zjednoczone długie i szerokie. Wycieczka nęci, rozrywka pociąga, więc mąż i dzieci ochotnie za nią się opowiadają; pani domu zaś odpada kłopot gotowania niedzielnego, pracowitszego niż codzienne. Decyzja więc zapada jednomyślnie, ze szkodą zdrowia dzieci.

A jak wygląda odżywianie się Ameryki w dnie powszednie?

W miasteczkach prowincjonalnych i po farmach żyją jeszcze dawne tradycje zdrowego gotowania wedle przepisów wyniesionych z domu rodzinnego, ale w miastach, brak służby z jednej, a pogoń za rozrywkami z drugiej strony stały się czynnikami formującemi nowe zwyczaje i nowy tryb życia. Rano, mąż idzie do zajęcia, dzieci do szkoły, Amerykanka szybko doprowadza mieszkanie do ładu i wychodzi na „shopping" (zakupy). Około godziny jedenastej wstępuje do kinematografu na t. zw. matinée, które jest specjalnym seansem dla pań. Wszak dzieci przyszedłszy w południe do domu mogą znaleźć swój „lunch" w kredensie i w lodowni pokojowej. Obiad jest wieczorem o piątej lub szóstej, czasu jest więc dość. Z kinematografu idzie ze spotkaną znajomą na lunch do pierwszej lepszej „cafeteria" a potem na „window shopping" czyli oglądanie wystaw sklepowych i wraca do domu po godzinie trzeciej. Obiad ma być na piątą, więc trzeba się śpieszyć; niema czasu na wymyślne menu, ale od czegoż ułatwienia jakiemi służy przemysł. Zupy i jarzyny można dostać w konserwach; na gotowanie lub pieczenie mięsa niema czasu, ale można je usmarzyć; na leguminę, w lecie można kupić gotowe „ice cream" (lody), w zimie zaś są proszki budyniowe, galaretki i sztuczne przetwory zbożowe gotowe do podania na stół — ready to serve — z mlekiem lub syropem owocowym. Dla urozmaicenia — sałatki, do których sos majonezowy można dostać w puszkach i — na szczęście — tanie owoce w obfitości. Przy obiedzie nieodzowna biała kawa, lekka i wodnista.

Naturalnie, i w dużych miastach istnieją dobre gospodynie i dbałe matki, ale nakreślony tu tryb życia stał się zjawiskiem tak gromadnem, że nadaje charakter życiu miast amerykańskich i ich wyglądowi w godzinach południowych.

W handlu towarami spożywczemi ogromną rolę odgrywa opakowanie. Nietylko konserwy i majonezy, które z natury rzeczy tego wymagają, ale nawet te towary które u nas kupuje się na wagę, tam są sprzedawane w specjalnych, często kosztownych opakowaniach. I tak, kawę paloną, nawet w stosunkowo niewielkich ilościach, dostaje się w blaszanych puszkach; słonina wędzona jest w handlu już pokrajana w plasterki i ułożona w pudełkach z firmą wytwórcy; masło deserowe, oprócz owinięcia w papier pergaminowy, otrzymuje tekturowe pudełeczka. Nawet miałki cukier i kasze wszelkiego rodzaju, mydło do prania i sodę można nabyć jedynie w eleganckich kartonach z firmą wytwórcy. Przemysł spożywczy używa opakowań dla celów reklamy i współzawodnictwa. Gdy u nas gospodyni chce kupić grysik pszenny lub kaszkę krakowską, to zapewne ani na myśl jej nie przyjdzie pytać się, w którym młynie zostały one wymielone. Nie tak w Ameryce. Produkty te w handlu nie istnieją już pod swojem właściwem nazwaniem. Nazwy te nie są może już nawet znane dzisiejszemu pokoleniu. Zamiast nich są specjalnie utworzone i zarejestrowane nazwy handlowe, których używać może tylko jeden wytwórca. Młynarze prześcigają się w kosztownej reklamie, umieszczając w dziesiątkach czasopism całostronicowe ogłoszenia, których koszt naturalnie obciąża konsumenta.

Dla dobrych gospodyń jest jeszcze w handlu mąka, będąca mąką w naszem znaczeniu tego słowa. Ale oprócz niej istnieją reklamowane mąki specjalnie preparowane, mieszane z mąką kukurydzianą, ryżową, gryczaną, z suszonem mlekiem i różnemi innemi dodatkami, pakowane w ładnych funtowych pudełeczkach i zalecane jako mąka na naleśniki, na ciasta i torty etc. Celem tych produktów jest rzekomo ułatwienie gospodyniom czynności kuchennych. To ułatwianie poszło już tak daleko, że np. ser parmezan istnieje w handlu prawie wyłącznie już utarty i opakowany w słoikach; aby oszczędzić kłopotu z obieraniem cebuli można dostać we flaszeczkach ekstrakt cebulowy do przyprawiania potraw, a aby nie czekać na ugotowanie się makaronu kupuje się go w puszkach ugotowany i przyprawiony na sposób włoski. Ogromną rolę w kuchni odgrywa mleko kondensowane.

Zjawisko zaiste ciekawe. W tych 30% zarobku jakie Amerykanin wydaje na żywność, mieści się już i haracz na rzecz walki konkurencyjnej firm przemysłowych i odsetek na skompensowanie braku służby, przez zakupno droższych artykułów kuchennych w postaci nawpół przygotowanej. A jednak jeżeli Ameryka wydaje na żywność tylko 30% zarobków, to dzieje się tak nie dla tego, żeby żywność była tam tania, tylko dla tego, że inne potrzeby życia, jak odzież i mieszkanie, są drogie. Jeśli dodamy do tego powszechną pogoń za rozrywkami, to zobaczymy, że Ameryka musi oszczędzać na jedzeniu, aby móc pokryć inne, jużto rzeczywiste już sztucznie stworzone, potrzeby życia.

Jednym z objawów tego oszczędzania jest przeważne używanie sztucznych tłuszczów. W handlu znajdują się rozmaite bardzo reklamowane tłuszcze jadalne, uzyskiwane jużto z kukurydzy, jużto z nasienia bawełny lub z oleju palmowego. Obok nich dużą rolę odgrywa margaryna. Masła używa się niewiele bo jest droższe. Sztuczne tłuszcze nie zawierają wprawdzie koniecznych dla zdrowia witamin, te jednak można otrzymać w aptekach, w postaci reklamowanego tranu i ergosterolu, a wydatku na aptekę nie liczy się bądź co bądź na rachunek kosztów żywności.

Zmniejszony popyt na masło powoduje zmniejszenie się podaży. Toteż ta gałąź mleczarstwa nie prosperuje w Ameryce tak, jakby na to pozwalały przyrodzone warunki tego kraju. Faktem jest, że masło do Stanów Zjednoczonych importuje się z Danji.

Oszczędzanie na jedzeniu wtargnęło już i do zwyczajów towarzyskich. Dzisiejsza Amerykanka przyjmując gości kładzie ogromną wagę na nakrycie i wygląd stołu. Moda, tworzona w interesie odnośnych gałęzi przemysłu, przepisuje całe mnóstwo szczegółów nakrycia stołu, o jakich nie śni się nawet nam w Europie. Podkładki haftowane pod talerze i szklanki, talerze kolorowe, mnóstwo srebra, szkła i kryształu, kwiaty, to wszystko musi być na stole. Potrawy są dobierane głównie na podstawie ich walorów dekoracyjnych. Kolorowe sałatki i galaretki odgrywają wielką rolę, natomiast wartość gastronomiczna i obfitość potraw jest na drugiem miejscu.

Rezultaty takiego ustosunkowania się do problemu odżywiania są już widoczne w całej pełni. Pierwszym z nich jest lichy stan odżywienia dzieci, na co zwracają uwagę lekarze i władze szkolne. Drugim rezultatem, wynikiem jedzenia prawie wyłącznie smarzonego mięsa i sztucznych tłuszczów, są narodowe amerykańskie choroby, cierpienia przewodu pokarmowego. Rezultatem trzecim, skutkiem jednostajności i niedostateczności wiktu domowego, jest duże powodzenie jakiem cieszą się restauracje. Fakt, że kucharze restauracyjni prawie bez wyjątku rekrutują się z pomiędzy imigrantów, jest dowodem niskiego stanu sztuki kulinarnej w Ameryce. Wielkie hotele utrzymują kucharzy sprowadzonych z Francji; w mniejszych restauracjach gotują Grecy i Włosi. Pozatem duże powodzenie mają restauracje chińskie a nawet żydowskie. W zamożniejszych domach kucharkami są murzynki.

Odpowiedzialność za taki stan rzeczy spada tylko częściowo na Amerykankę. Główną winę ponosi tu dzisiejszy tryb życia wielkomiejskiego, który jako objaw społeczny musi być uważany za niepożądany i wprost patologiczny. Ten tryb życia jest w dużej mierze skutkiem nadmiernego uprzemysłowienia kraju.

Uważam je za nadmierne, bo przemysł powinien służyć rzeczywistym potrzebom, a nie wysilać się na stwarzanie w społeczeństwie pozornych potrzeb i nałogów, aby ciągnąć następnie zyski z ich zaspokajania. Problem odżywiania w Ameryce jest tylko małą częścią zagadnienia znacznie obszerniejszego i niezwykle dla tego kraju poważnego.

WANDA RICHARD

ŻUBRY I PARK NARODOWY W BIAŁOWIEŻY



500-letni dąb o obwodzie 5,20 m i wysokości 35 m, stojący w Parku Narodowym w Białowieży *Fot. inż. J. J. Karpiński*

MÓWIĄC O PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ ma się zwykle na myśli jej przedstawiciela, głowę tego drzewostanu, reprezentanta krasy i okrasy tej krainy szumiącej i zielonej, a mianowicie rezerwat, Park Narodowy. Tu właściwie koncentruje się ruch turystyczny w Białowieży, gdyż lepiej nie pozwolić ludziom łazić po puszczy już nie w obawie przed napadem drapieżnej zwierzyny lub zaginięciem w gęstwinie zakochanej pary, ile poprostu dla zwykłej ostrożności. Wszak nie można za każdym podnosić z ziemi porzuconych niedopałków papierosów i gasić. Pod tym względem inteligencja „ludzi z miasta", zwiedzających lasy, stoi niżej od prymitywnych koczowników syberyjskich, którzy smażą sobie ustrzelone ptactwo pod wolnem niebem, ale zawsze potem przestrzegają gaszenia ognisk, aby nie wzniecić pożaru na stepie, i tak wyglądającym dość malowniczo bez ognia. Zresztą zwiedzenie białowieskiego Parku Narodowego daje doskonale obraz całości puszczy.

Nad turystami w Parku Narodowym — mówiąc tak poufnie między nami — zawsze tam łatwiej roztoczyć opiekę bo, — wiemy dobrze, — że wycieczki starszych obywateli są nieraz stokroć gorsze od czeredy rozbrykanych malców, udających nibyto Indjan. Istotnie, nie łatwo dziś znaleźć w puszczy takiego czerwonoskórego gentelmana, jakim był i umarł Winnetou. Miał rację Makuszyński.

Ze wzruszeniem więc mówię tych kilka słów o Sekcji Turystycznej w Białowieży, która dokłada wszelkich starań co roku, aby dla zwiedzających być wszystkiem: — hotelem, portjerem, niańką, bedekerem, ciceronem, a nawet fotografem à la minute. Niechby mieli wszystko i nie pragnęli jeszcze szybki z okna, nie wycinali cennych monogramów na Bogu ducha winnych drzewach i nie pisali głupich wierszyków na kamieniach. Jest ten zwyczaj bardzo zaraźliwy. Zdarzyło się tak, że na jakiejś ławce wyczytałem: datę, podpis i tych kilka słów: „Tu siedziałem razem z Zosią". Jakiś wesoły wierszorymarz pod spodem dopisał: „A żeś siedział, byłeś osioł". Zresztą, cóż nas tego rodzaju intymne zwierzenia mogą obchodzić?...

A jednak trzeba zaznaczyć, że Sekcja Turystyczna w Białowieży jest nader gościnna i spełnia pozatem wszystkie życzenia przyjezdnych. W tych ludziach kresowych siedzi już taka natura, że ducha wyzionęliby nawet, byle tylko gościom dogodzić. Dodać przytem należy, że są to z powołania leśnicy, a więc gatunek ludzi cierpliwych, stworzonych do cierpiętnictwa w milczeniu, przyzwyczajonych do samotności i obcowania z głuchym lasem, jednem słowem — coś w rodzaju świętych, którzy grzeszą tylko 7 razy na dzień.

Dla niemniej naukowego pożytku opisać zkolei wypada bogaty teren przyrodniczy białowieskiego rezerwatu.

Park Narodowy, oddzielony z czterech stron świata rzekami Narewką, Hwoźną, drogą Bzowską i Białowieską Polaną stanowi kompleks lasów nietkniętych siekierą niemiecką i obfitujący w typową dla puszczy faunę i florę. Co dusza zapragnie a oczy rade widzieć, można tu znaleźć w lasach, jeśli chodzi i o gatunki drzew, i — w muzeum przyrodniczem, jeśli ktoś pragnie przypomnieć sobie zoologję w sposób niegroźny, za szybą, w okazach oswojonych, bo wypchanych. Zrobiono to dlatego, że trudno wymagać, iżby żywa zwierzyna leśna podchodziła do ręki na zawołanie, dzikie zaś ptaki, jak wiadomo, zlatywały się tylko do rąk św. Franciszka.

Muzeum jest urządzone bardzo starannie. Z reprezentacyjnego ptactwa wymienić wypada, głuszca, typowego bywalca tych stron leśnych, orła, sokoła, cietrzewia, jarząbka, myszołowa, jastrzębia, kanię, czaplę, kruka, a jak ktoś sobie życzy koniecznie, znajdzie i wronę. Tylko, niestety, czarny bocian nie chciał się dać wypchać i pozwolono mu długo kryć się przed okiem ludzkiem w mrocznych zakątkach puszczy zanim go ten los spotkał. Pocieszmy się, ta jedna więcej ofiara była jednak — dla nauki, dla nas samych, — wybrednych zwiedzających. Z owadów, ryb,



Białowieża. — Żubry przy paśniku *Fot. inż. J. J. Karpiński*

gadów i płazów, możnaby również wymienić wszystkie nazwy, za które dostawaliśmy dwóje w szkole, lepiej więc dać temu spokój. Zapamiętać tylko wypadałoby, że żółw błotny i żmija zygzakowata znaleźli tu również za gablotką zgodliwy spoczynek pośmiertny i należne miejsce, jako ciekawe okazy Białowieży. Z ssaków widzimy wypchanych, wszystkich naszych dobrych znajomków, jak jelenie, daniele, sarny, dziki, lisy, wydry, kuny, łasice, tchórze, gronostaje, zające, a nawet figlarną rudą wiewiórkę z orzeszkiem. Są to typowi reprezentanci całej plejady ssaków, żyjących dziś w Puszczy Białowieskiej z prawem niemal — obywatelstwa. Króluje nad nimi rodzina żubrów, weteranów z dawnych prasłowiańskich czasów barci leśnych i ostrzewi, która dziś przyswojona na wolności w liczbie 5, skubie sobie trawkę, specjalnie im hodowaną w zwierzyńcu pod Hajnówką. Bywało ongiś inaczej gdy podchodziły do rohatyny na to tylko, aby ją wyrzucić wraz z myśliwym w powietrze. No tak, ale wtedy było ich w białowieskim mateczniku znacznie więcej, gdy w nim sobie wybrały najmilszą w Europie sadybę.

Żubr, to może jedyny obecnie na świecie zwierz, godny jego kolegów po rogach i kopytach, z epoki Noego i potopu. Potężnej struktury, o przodzie rosłym, pękatym, większym od tułowia i silnie rozwiniętym karku, duma teraz z leniwą powagą nad przeszłością swej chwały, wodząc rudą, grzywiastą brodą po pastewniku. Tylko w soczewkach oczu, ponurych, płomiennych, możnaby dopatrzeć się jego dawnej nieugiętości i mocy dzikiej, która kiedyś przyprawiała człowieka o strach i rozkosz walki z nim na śmierć i życie. Dziś posłuszny, chętnie podchodzi do zagrody zwierzyńca na głos rogu gajowego.

Rzecz dziwna, jeśli chodzi o stronę utylitarną, to mięso żubrze nigdy nie doczekało się tej wdzięcznej sławy wśród potomnych, co żubrza skóra. Poszukiwana ona była w dawnej medycynie na delikatne posłanie dla położnic celem ułatwienia im rozwiązania. Rzadko jakie zwierzę, stojące na myśliwskim celowniku, mogłoby się przed swą zagładą pochwalić kiplingowskiemu Mowglemu z „Księgi puszczy", tak rozległą historją i literaturą. Sam Juljusz Cezar, poświęcił żubrom (uri) pióro, opisując Germanję, a nawet Tacyt. Błędny ryeerz francuski, Gilbert de Launoy, który włóczył się po świecie od Gdańska, przez Lwów do tureckiego Akermanu spotkał się z żubrami w Trokach, w zwierzyńcu księcia Witolda, brata Władysława Jagiełły i nie omieszkał o tem zdarzeniu wypisać dziwacznych kronikarskich notatek w pamiętniku. Polowania z żubrem, podobne do walki byków w Hiszpanji, zainteresowały Włocha, Commendoniego, a Juljusz Ruggieri nuncjusz papieski, który był w Polsce na dworze Zygmunta Augusta (1568 r.), poświęca im również uwagę, przyczem jednak myli żubra z jego skrzyżowaną z bydłem odmianą, a mianowicie z turem. Dziś w wielu powieściach znajdziemy żubra z większą łatwością niż w oryginale, w rzeczywistości, na kuli ziemskiej. Wspomina o nim Kraszewski i Sienkiewicz, z nowszych zaś pisarzy Sieroszewski w swem pięknem dziele „Puszcza Białowieska", i Rawita Gawroński w swych historycznych artykułach („Echa Leśne", nr. 4, 1930 r.).

Zanik żubra w Anglji, Francji i Szwecji datuje się od XI wieku, a w Polsce widać, że z nim było już nie najlepiej w XVI wieku za ostatniego z Jagiellonów, skoro wyszedł królewski dekret, zabraniający ubijania żubrów pod srogą karą, — śmierć za śmierć. Chroniony, pielęgnowany przez człowieka, a nawet protegowany przez królów, zginął jednak z biegiem czasu, tak na Pomorzu, jak i w Prusach Wschodnich w ciągu XV do XVIII wieku. W stanie dzikim, dotrwał jedynie na swobodzie w — Puszczy Białowieskiej.

Według obliczeń z 1857 roku żyło tu jeszcze 1898 żubrów, w roku zaś 1914. zanotowano ich już tylko 727 sztuk. Skutki wojny w szybkiem tępie umniejszyły ten stan w sposób katastrofalny. Pewną ich część „wypożyczyli sobie" Niemcy do zwierzyńców własnych, reszta padła łupem, przeciągających przez puszczę oddziałów niemieckich, partyzantów rosyjskich i domorosłych kłusowników. W 1917 roku zmalała ilość żubrów do 120. Lecz to nie koniec. Dopiero po opuszczenia Białowieży przez wojska okupantów, zaczął się dla królewskiego zwierzęcia okres fatalnego bezkrólewia. Starczyło zaledwie kilka miesięcy,



Fragment Parku Narodowego w Białowieży *Fot. inż. J. J. Karpiński*



Białowieża. — Rzeka Narewka w Parku *Fot. inż. J. J. Karpiński*

aby ostatni żubr zginął z ręki kłusownika. — Ta tragiczna wymowność historji zwierzęcia, nie dziw, że mogła poruszyć serca wszystkich przyrodników świata, czemu, choć po niewczasie, należy jednak chwalebnie przypisać założenie Międzynarodowej Ligi Ochrony Żubra w Paryżu w 1923 r. Według zestawienia prof. Sztolcmana naliczono się w 1926 r. na Międzynarodowym Kongresie Leśnym w Rzymie już tylko 66 żubrów, pozostałych wogóle na świecie i to jedynie w zwierzyńcach. Po lepszem zbadaniu, Liga Ochrony stwierdziła w Budapeszcie w 1928 r., że z nich zaledwie 59 jest czystej rasy.

Co stało się przyczyną tego powolnego zaniku żubra do tak nikłej liczby? Niewątpliwie, w pierwszej linji, — człowiek. Prócz bezlitosnych polowań, wymienić należałoby tu również epidemje, które przetrzebić musiały żubrostan. Są też zapewne i inne przyczyny. Potężne rogi i ogon żubra, służące mu do obrony i ataku, nie mogły zapewne sprostać w walce z takiemi drapieżnikami, jak najmocniejszy niedźwiedź, zwinniejszy wilk, a przedewszystkiem ryś. Ten chytry awanturnik leśny, chociaż mniejszy od żubra, musiał jednak wychodzić zwycięsko w spotkaniu z ciężkim olbrzymem. Do naturalnej likwidacji żubrostanu w ciągu wieków, doliczyć również trzeba brak odpowiedniej paszy przez wyrębywanie lasów i spowodowany w ten sposób zanik karmy przyziemnej, odpowiedniej dla tego wcale wybrednego trawożercy. Pozatem wszystkiem, bezwątpienia, skrzyżowanie żubrów z bydłem domowem mogło wpłynąć ujemnie na ich czystość krwi. Dopiero powolne zastosowanie reguły Mendla o dziedziczeniu, przez skrzyżowsnie krów mieszanych z żubrami czystej krwi i dalsze stopniowe eliminowanie z potomstwa krwi bizona, bawołu lub wołu bessarabskiego, mogłoby dać jednostki o cechach prawdziwych żubrów. Trudno, trzeba było dziś chwycić się i tego sposobu.

Pamiętnego dnia 19 września 1929 r. wróciły z pierwszym transportem dwa żubry (z zakupionych ogółem 6 sztuk przez Ministerstwo Rolnictwa) do białowieskiego zwierzyńca. Z paradą przyjechały, bo w skrzyniach drewnianych, w wagonie kolejowym. — „Wobec ludzi zachowywały się obojętnie, — jak pisał naoczny świadek, inż. J. J. Karpiński, nadleśniczy, — podejrzliwie tylko wpatrując się w nastawione dwa aparaty fotograficzne". Przygotowano im 22-hektarową sadybę (oddział 420), starannie zabezpieczoną przed wrogiem towarzystwem drapieżników, posiano specjalne trawniki, zatroszczono się dla nich o sztuczną karmę na paśniku i ulubione piaskowe kąpiele na plaży obok szemrzącego strumyka, który przecina zwierzyniec, a nawet sadzawkę. Są więc na swobodzie, jak dawniej w swej kniei królewskich żubrów, wróciły tu jak do swego domu zdaleka, z powrotem, lecz jest w tem wszystkiem i mimo wszystko, coś smutnego... Ostatnie żubry woła się już tylko po imieniu:

Hej! — „Borus", „Biskaja", „Stolce", „Swea"....

Pozostało ich dziś wszystkich pięć z żubrem-jałówką bez nazwy.

Tak się przedstawia w chwili obecnej żubrostan białowieski.

— — — — — — — — — — — — — — —

(Dok. nast.) JANUSZ STĘPOWSKI

MAY SINCLAIR

ANNA SEVERN I FIELDINGOWIE

Z ang. przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski — Powieść, 32 —

Tak tedy Madzia się uspokoiła, bezpieczna w swej miłości do Jerrolda i w jego miłości do siebie, gdy tymczasem Anna i Jerrold przechodzili katusze wzajemnego ukochania. W ich ofierze już ich nie podtrzymywał widok i obawa Madzinej choroby, która więcej niż wszystko inne trzymała ich namiętność na wodzy. Bez tego dobroczynnego lęku wystawieni byli na cochwilną pokusę. Może choroba czai się tuż tuż, ale gdy Madzia chodzi sobie oto jakby nigdy nic, sama skrucha postradała swą ochronną ostrość. Cierpieli ustawiczną mękę niedosytu. Nigdy teraz nie zostawali sami. Już ich nie łączyło żadne zetknięcie ducha z duchem, ciała z ciałem, żadne słowa, żadne wyznania; posiadal, się nawzajem jedynie wzrokiem, gwałtownym jak uściski lecz bez rozkoszy, jaką uścisk daje, wzrokiem, który jeno rozpalał dręczące pożądanie. Czasem dzieliło ich parę kroków, czasem długość pokoju, czasem łąka — ale wzrok skuwał ich zawsze i zwierał; jedno spojrzenie sprzęgało ich, a już następna chwila rozdzierała od siebie.

I dzień po dniu tęsknota, pozbawiona ujścia, stawała się coraz bardziej namiętna, wysubtelniona, świadoma siebie. Spotykali się w coraz dłuższych odstępach, gdyż rozłączyły ich odrębne zajęcia. Colin wrócił w październiku, zupełnie ozdrowiały i teraz wspólnie z Jerroldem prowadził gospodarstwo majątku, podczas gdy Anna pracowała na własnej fermie. Jerrold nie widywał ani starał się widywać Anny, chyba w obecności Madzi, Colina, czy kogo z czeladzi; bał się, i Anna wiedziała, że się boi. Ta świadomość jego obaw czyniła ją samą niepewną i chwiejną. Ona także unikała widywania go na osobności.

A rozłąka taka, miast ich uodpornić, unicestwiała — przeciwnie — własny swój cel. Z każdym dniem mniej na sobie polegali. Rozłąka ta była przeciwna naturze i natura była jej przeciwna. Nie opuszczało ich przeczucie chwili, gdy zerwą wszystkie więzy. Jedna myśl ustawicznie pchała ich na krawędź upadku: „Mogę to znieść osobiście, ale nie mogę znieść przez wzgląd na niego", „Mogę to znieść osobiście, ale nie mogę znieść przez wzgląd na nią".

Przytem oboje opętał nowy strach, dotkliwszy niż obawa Madzinej choroby: strach o wzajemne swe zdrowie. Wspaniała ich krzepkość fizyczna poczynała się załamywać. Gorliwiej niż kiedykolwiek pracowali na roli; lecz pod wieczór gorliwość tej pracy wyczerpywała ich. Ciągnęli dalej z upartego, tępego poczucia obowiązku, bez radości jednak. Anna z każdą nocą stawała się coraz bardziej niespokojną, z każdym dniem coraz bardziej znużoną i anemiczną. Jerrold mniej jadł i spał gorzej. Wychudli, a twarze ich przybrały jednaki wyraz zmęczenia, zgryzoty i zaskoczenia, jakby zdumiewał ich ten świat, który toleruje ich udrękę i nawet przyczynia się do niej.

Madzia to dostrzegła i po raz pierwszy zmąciło to jej spokój. Póki jej choroba trwała, martwiło to wszystkich; ale czemuż na Boga dzisiaj, kiedy już jest dobrze, Jerrold i Anna w dalszym ciągu tak wyglądają? Widocznie przyczyna jest fizyczna; ci kochani nieboracy za wiele harują.

Wszelakoż zmiana ta zachodziła tak stopniowo, że nie wstrząsnęła Madzią; natomiast Eliot, zjechawszy w listopadzie, nie mógł ukryć troski. Uderzyła go nie choroba Anny, nie choroba Jerrolda, lecz podobieństwo ich chorób, podobieństwo wyrazu ich twarzy. Jasną było rzeczą, iż cierpią wspólnie, wspólnem cierpieniem ze wspólnego powodu. I gdy w wieczór przed jego odjazdem Jerrold zaciągnął go do bibljoteki, ażeby zasięgnąć porady co do Madzi, Eliot miał z nim twardą i bez ogródek rozmowę o nim samym.

— Mój drogi Jerroldzie, — powiedział, — Madzi nic poważnego nie jest. Zbadałem jej serce. Nie jest to serce wyjątkowo silne, lecz żadnej w niem wady niema. Zawieź ją do wszystkich w Europie specjalistów, a to samo orzekną.

— Wiem, a jednak się trapię.
— To dlatego, mój chłopcze, żeś sam niezdrów. Nie podoba mi się to. Nie jestem niespokojny o Madzię, ale jestem o ciebie i o Annę.
— O Annę? Wydaje ci się, że jest chora?
— Myślę, że wpadnie w chorobę, a i ty niemniej... Coście przedsięwzięli?
— Nic nie przedsięwzięliśmy.
— Otóż to. A trzeba coś radzić, jeśli nie ma być za późno.
Jerrold drgnął i spojrzał na niego. Czyżby Eliot wiedział? On zawsze domyśla się, nie wiadomo jak.
— Co chcesz powiedzieć? O czem myślisz? — Słowa Jerrolda padły w ostrym pośpiechu.
— Ty wiesz.
— Nie wiem, skąd ty wiesz. I prawdę mówiąc, nic nie wiesz.
— Nic nie nic, ale nie dużo. Dosyć przecież, aby stwierdzić, że tak dalej trwać nie może.
— Mówisz o Madzi i o mnie?
— Nie, o tobie i Annie. O Annę mi chodzi. Własne życie możesz sobie psuć, jeżeli masz ochotę; ale nie powinieneś psuć jej życia.
— O Jezu, jakbym ja tego nie wiedział! Co u djabła mam począć?
— Zostaw ją samą, Jerroldzie, jeżeli nie możesz jej mieć.
— A czyż ja jej nie zostawiłem samej? Muszę to czynić, choćbyśmy oboje mieli z tego umrzeć.
— Trzeba, żeby wyjechała, — rzekł Eliot.
— Beze mnie nie wyjedzie, a ja nie mogę.
— No, więc to niemożliwa sytuacja.
— Piekielna sytuacja, ale jedyna jako tako przyzwoita. Zapominasz o Madzi.
— Owszem, pamiętam o niej. Nic nie wie?
— O Boże, nic. I nie dowie się nigdy.
— Należałoby jej powiedzieć.
Jerrold milczał.
— Mój kochany Jerroldzie, innego rozsądnego wyjścia niema. Powiedz jej odrazu i proś o rozwód.
— Miałem to zrobić, ale zachorowała, więc nie mogłem.
— Teraz nie jest chora.
— Zapadnie znów, jeśli jej powiem. Ją to poprostu zabije.
— Nie zabije. A może... nawet... uleczy.
— Unieszczęśliwi ją to strasznie i odnowi te okrutne bóle. Gdybyś ją wówczas widział, Eliocie, pojąłbyś całą niewykonalność swych rad. Wszak nie możemy postąpić po świńsku. A gdybym nawet ja mógł, to Anna nie. Jakoś musimy to znosić, Anna i ja.
— Bardzo to wszystko opaczne.
— Nie potrzebujesz mi tego mówić. Ale nic lepszego nie wymyślimy. Nie przypuszczasz, że Anna byłaby szczęśliwa, skrzywdziwszy Madzię?
— Nie. Masz rację. Nie byłaby. Ale sytuacja niżej krytyki.
— O tak, nie do zniesienia.
Jerrold zamyślił się gorzko. A zarazem ujrzał, może po raz pierwszy, całą zacność Eliota, smutek i piękno jego miłości do Anny. Cierpiał przez lata to co Jerrold cierpi teraz, nie mając przytem pociechy Aninego kochania. Nigdy, przez jedną chwilę, nie zakosztował szczęścia miłości ani żadnej rozkoszy. Nic mu nie przypadło w udziale. I Jerrold uprzytomnił sobie ze ściśniętem sercem, że nigdy nie kochał brata dostatecznie. Całe swe przywiązanie oddawał Colinowi — młodszemu, wątłemu Colinowi, który go się czepiał i dreptał za nim krok w krok. Eliot zawsze chadzał własnemi cudacznemi drogami, trzymając się osobno.
A teraz był mu najbliższy ze wszystkich — wyjąwszy Annę.

— Ciężko mi, Jerroldzie.
— Zacny z ciebie chłop, że ci ciężko... Widocznie szczerze chodzi ci o to, bym dostał Annę.
— No, tak daleko się nie posuwam, mój stary. Ale szczerze pragnę, by Anna dostała ciebie. Słuchaj, ona jest tutaj?
— Tak. Madzia zatrzymała ją na obiad na twoją cześć. Najpewniej znajdziesz ją w salonie.
— Gdzie Madzia?
— Nie przeszkodzi wam. Poszła się położyć.
Eliot udał się do salonu, gdzie też istotnie zastał Annę.
Spojrzała nań. — Rozmawiałeś z Jerroldem, — rzekła.
— Tak, Aniu. Martwię się o niego.
— Ja także.
— I martwię się o ciebie.
— A on się martwi o Madzię.
— Tak jest. Zrazu nie chciał zapewne widzieć jej niedomagań, teraz zaś, zobaczywszy wreszcie, jest pewien, że musi umrzeć. Właśnie usiłowałem mu to wyperswadować.
— Czy mógłbyś nam wytłumaczyć, co ją w ten stan wprawiło? Bo gdybyż nie była szczęśliwa, to rozumiem. Ale jest szczęśliwa.
— Nie zawsze nią była. Jerrold z pewnością przyprawił ją o niemiłosierne cierpienia.
— Kiedy?
— O, na długo przed ich małżeństwem.
— Ale czemże miał ją męczyć?
— Tem właśnie, że się nie żenił. Przyszła do wniosku, iż jej nie kocha. Wywieziono ją do Indyj — prawdopodobnie w myśli, że tam się oświadczy o nią. A gdy zobaczyli, że mu to ani w głowie, odesłali ją z powrotem. Biednej Madzi nieomieszkano dokładnie wyłożyć, że Jerrold o nią nie dba, no i to utkwiło w jej pamięci, zostawiając coś w rodzaju głębokiej rany.
— Ale skoro się pobrali, musiała nabrać przekonania, że jednak kocha ją. Zapewne i dziś tak sądzi.
— Oczywiście. Chyba nigdy nie dał jej odczuć...
— Nigdy.
— Ale mimo wszystko rana trwa. Aczkolwiek Madzia nie zdaje sobie z tego sprawy. Fakt pozostaje faktem, że ich małżeństwo jest niedoskonałe, gdyż Jerrold nie kocha jej. Część Madzi, ta przedziwna część, którą my znamy, nie uprzytamnia sobie tej niedoskonałości, żyjąc w ustawicznej ułudzie. Ale część, nam nieznana, tajna, ukryta część jej duszy, jest tego głęboko świadoma... Cała jej choroba jest poprostu rodzajem klapy bezpieczeństwa. Umysł Madzi nie mógł ścierpieć rzeczywistości, więc się obwarował nerwicą. Madzia się zachowuje, jakby nie była zamężna, żeby móc sobie wmawiać, iż niezupełność ich stosunku wynika z jej choroby, a nie z Jerroldowego braku miłości. Zastępuje sobie nieznośną sytuację sytuacją bardziej znośną.
— A więc nie przypuszczasz, by wiedziała?
— Iż Jerrold jej nie kocha? Nie. Jedynie w ten podświadomy sposób. Jej umysł pamięta, lecz ona zapomniała.
— Chcę rzec: nie wie o Jerroldzie i o mnie?
— Napewno nie. Gdyby wiedziała, wyciągnęłaby z tego wnioski.
— To samo mówi Jerrold. Cóżby uczyniła?
— O, coś dostojnego, coś szlachetnego, boby nie była sobą. Dałaby Jerroldowi wolność.
— Tak jest. I umarłaby z tego.
— Ależ nie, nie umarłaby. Właśnie mówiłem Jerroldowi, że możeby ją to uleczyło.
— Jakim sposobem?
— Zmuszając do stawienia czoła rzeczywistości. Ukazując jej, że cała jej choroba wypływa z braku poczu-

cia tej rzeczywistości. Wszystkie nasze neurozy mają za powód tchórzostwo przed prawdą.

— Cóż z tego, że ją uzdrowimy, unieszczęśliwiając ją jednocześnie! Co większa, nie wierzę w to. W smutku stan jej się pogorszy, a nie poprawi.

— Ryzyko naturalnie istnieje, — powiedział. — Lecz chodzi mi o ciebie, nie o Madzię, bo, widzisz, ja nie wiem, co tu zaszło.

— Jerrold ci nie mówił?

— Mówił tylko to, o czem sam wiedziałem.

— Ale ostatecznie, co ty wiesz?

— Wiem, żeście oboje wyglądali dobrze, gdym was tu widział razem na wiosnę. Więc domyślam się, że byliście szczęśliwi wówczas. Jerrold wyglądał na ciężko chorego w Taorminie. Wnioskuję więc, że był tam nieszczęśliwy, ponieważ był daleko od ciebie. Na ciężko chorego wygląda i teraz. Ty również. Wnioskuję tedy, żeście oboje nieszczęśliwi.

— Tak, oboje jesteśmy nieszczęśliwi.

— Czy chcesz pomówić ze mną o tem, Anno?

— Nie, Eliocie, nie chcę. Tylko gdybym myślała, że dotąd pragniesz mię za żonę...

— Pragnę tego. Zawsze będę tego pragnął. Już dawno ci mówiłem, że nic mię nigdy od tego nie odwiedzie.

— Nawet jeśliby...

— Nawet. Cokolwiekbyś uczyniła czy nie uczyniła, pragnąłbym zawsze. Ale już ci mówiłem — pamiętasz? — że nie byłabyś zdolna do żadnego czynu nikczemnego lub okrutnego.

— A ja ci odrzekłam, że nie jestem pewna.

— A ja jestem pewien. Mnie to wystarcza. Nic więcej wiedzieć nie chcę. Nie chcę wiedzieć nic, czegobyś wolała, żebym nie wiedział.

— Och Eliocie, tyś taki, taki dobry. Dobry jak Madzia. Nie gryź się mną i Jerroldem. Jakoś to przeżyjemy.

— A jeżeli nie potraficie znieść?

— Ja potrafię.

— Ale on? Jeżeli chcesz być bezpieczną...

— Mówiłam ci, że nigdy tego nie zechcę.

— Jeżeli zechcesz jemu dać bezpieczeństwo, czy wówczas — — wyszłabyś za mnie?

— Toby zmieniło postać rzeczy. Nie wiem, Eliocie. Ale chyba jednak nie.

Odszedł z cieniem nadziei. Powiedziała, że toby zmieniło postać rzeczy. To, czegoby nigdy nie zrobiła dla niego, uczyni być może dla Jerrolda.

Może przecież wyjdzie za niego, by dać Jerroldowi bezpieczeństwo.

Eliotowi nic nie sprawi różnicy. Cokolwiek Anna uczyniła, pozostała Anną. A on Annę kocha. I koniec końców, cóż on wie o niej i Jerroldzie? Tyle jeno, że jeśli byli kochankami, to w tem jest tłumaczenie ich dziwnego szczęścia przed siedmiu miesiącami. Jeżeli musieli zrzec się siebie, to wyjaśnia ich obecną niedolę. Pomyślał: Ileż to ich kosztowało?

Może kiedyś, gdy wszystko się wyjaśni i Anna będzie znużona walką, przyjdzie do niego, a on ją pojmie za żonę...

Nawet jeżeli — —

Rozdział ośmnasty:

JERROLD I ANNA

1.

Dworek Barrow Farm, długi, niski i szary, krył się za wysokiemi wiązami, zwrócony ślepą ścianą szczytową ku drodze i ku Manor Farm. Jego dziewięć okien patrzyło na pola zbiegające do rzeki. Zabudowania gospodarskie piętrzyły się za nim — strome dachy, siwe strzechy nad siwemi murami.

Anna nie odrazu się przeniosła do Barrow Farm. Musiała zaczekać, aż Jerrold ozdobi dla niej to miejsce.

To jedno wyrywało go z apatji. Mimo wszystkie zgryzoty, z radosnem przejęciem burzył przegródki pokoików, ażeby Annie było przestronniej, wybijał okna w ślepej ścianie południowej, by wpuścić słońce dla Anny.

Ogród Anny pochłaniał go bardziej niż własne siedemset akrów. On i Madzia planowali go wspólnie, przechadzając się między zapuszczonemi grzędami i po pustkowiu, gdzie kury tylko się grzebały.

Po jednej stronie miano dać brukowany dziedzińczyk, po drugiej trawnik, z kwiatowym ogrodem w środku. Tu, mówiła Madzia, trzeba umieścić kępę ostróżek, a tam lawendę. Rozmawiali o tem, jak Annie będzie miło przyglądać się wzrastaniu ogrodu.

— Jerrold tak to upiększy, że zechcesz zostać tu na całe życie.

A dziewczyna chodziła z nimi, wysłuchiwała ich, powtarzała im że są aniołami, udawała niezwykłe zaprzątnięcie domem i ogrodem, gdy w istocie serce ją bolało i zbyt się czuła znużoną, by się czem interesować.

Dom został wykończony w końcu listopada. Jerroldostwo pomogli umeblować go. Madzia sprowadziła z Londynu wzorki, które dała Annie do wyboru. Osobiście Madzia uważa że ładny jest ten gobelin w kremowe i czerwone róże, albo ten w zielone liście, krwawe tulipany, błękitne i purpurowe clematis. Anna starała się zachowywać, jakby całe jej szczęście zawisło od barwy obić — no i godziła się na te, które najbardziej dogadzały Madzi. Meble ustawiano wedle Madzinych wskazówek, gdyż Anna była nazbyt zmęczona, by się tem zająć. Przytem krzątała się na folwarku. Stary Sutton w ostatnich latach zniedołężniał i mocno zapuścił ziemię orną, tak, że Anna musiała zmieniać ugor w rolę.

Madzia cieszyła się jak dziecko i podniecała planami. Poczytywała, że Anna, wróciwszy z pracy na polach, winna zastać dom zupełnie gotowy do przyjęcia jej, że wszystko ma być na miejscu, fotele i sofy obite wesołym wzorzystym gobelinem, książki ustawione na półkach, biało-niebieski serwis na kredensie.

Herbatę podano na stole o giętych nogach, przed szerokim kominkiem. Zaświecono lampy. Płonął suty ogień. Colin, Jerrold i Madzia już na nią czekali. I oto Anna nadeszła, wyczerpana, biała i szczupła, z czarnemi włosami w nieładzie. Gruby strój roboczy wisiał na niej luźno.

Jerrold przyjrzał jej się. Sterana twarz Anny siląca się na uśmiech, podobnież jak uradowane oczy żony, targały mu serce. I ten głos Ani, grający uszczęśliwienie:

— Najdrożsi moi, jak ślicznieście tu urządzili!

— Podoba ci się?

Madzia poczerwieniała z radości.

— Bardzo. Strasznie. Ale tu jest mnóstwo nowych sprzętów! Skąd naprzykład ten stół?

— Z Dworu. Czyż go nie pamiętasz? To od Eliota.

— A biurko, a kredens, a te przecudne dywany?

— Od Jerrolda.

A serwis był od Colina, a gobelin od Madzi. Wszystko, co nie należało do Anny, zostało jej ofiarowane przez nich.

— Nie powinniście byli, — wzdragała się.

— Robiliśmy to dla siebie samych. Żeby cię tu przytrzymać, — rzekła Madzia.

— Sądzisz, że nato trzeba było aż tego wszystkiego?

Ciekawe, czy oni wiedzą, jak się stara wyglądać na szczęśliwą, jak usiłuje nie być obojętną.

Potem Madzia wzięła ją na górę, by jej pokazać sypialnię i białą łazienkę. Colin niósł lampę. Zostawił te panie same w Aninym pokoju. Madzia zwróciła się do niej:

— Kochanie, wydajesz mi się znużoną. Czy jesteś zbyt zmęczona by się cieszyć?

— Byłabym nierogacizną, gdybym się nie cieszyła, — rzekła Anna.

Ale się nie cieszyła. Z chwilą ich odejścia, opadł ją przytłaczający smutek. Z mroku dochodziły ją głosy i śmiech dwojga niewinnych: Colina i Madzi. Ujrzała w pamięci twardą, zbiedzoną twarz Jerrolda, silącego się uśmiechnąć, jego usta, wykrzywione tym trudnym uśmiechem podobniejszym do męki śmiertelnej. A to przecież ten sam Jerrold był dawniej pełen zawsze ochoty i wesela.

Chodziła tu i tam po ślicznym pokoju, oglądając nanowo dary Colina, Jerrolda i Madzi.

Madzi. Będzie musiała żyć z tem okrucieństwem Madzinych darów, dojmującej Madzinej dobroci i ufności. Madzine firanki, Madzina sofa, usiana kwiatami uśmiechającemi się do niej wesoło na białem tle. Przypomniał jej się tamten inny dar, tamte inne firanki, które zakryły ją i Jerrolda od świata, tamta inna sofa, gdzie leżała w jego objęciach. Każdy przedmiot posiadał niemą lecz rozdzierającą wymowę, która jej przypominała, która oskarżała ją.

Oto więc widownia przyszłych jej losów. Odtąd te sprzęty będą świadkami jej niedoli. Jerrold nigdy tu do niej nie przyjdzie jak przychodził na Manor Farm; nigdy nie siądą sobie przy kominku, gwarząc: te firanki nigdy nie osłonią ich namiętności; Jerrold nigdy nie podejdzie do tej lampy by ją zgasić; nigdy nie będzie leżała, tętniąc oczekiwaniem, aż się do niej zbliży poprzez ciemność.

Pragnęła ongi Barrow Farm i oto ją dostała, ale za późno. Lubiła ją. Lecz jakże lubić miejsce, gdzie się będzie taką nieszczęśliwą? Winnaby jej znienawidzić wraz z temi więżącemi ją murami, z tem wielookiem, szpiegującem umeblowaniem, z tym pozorem zadowolonego spokoju, obrażającego jej mękę.

Odsunęła firanki. Żółte światło lampy zawisło w ciemności nad polem. Łąki zbiegały pociemku do rzeki między czarnym masywem drzew.

Tam czeka na nią ziemia. Tam jest jedyne życie, jakiem wolno jej żyć. Pasowanie się z glebą, z której trzeba wydobyć więcej, niż dobywali z niej ci, co się tu znoili przed Anną. Jałowiznę przerobić na ziemię orną. Nadejdzie pora orki, siewu, sianożęcia i żniw. Będą nadchodziły godziny zadawania obroku i dojenia. Wypadnie doglądać, by sprawy wciąż te same odbywały się we wciąż tych samych porach, w tych samych miesiącach, dzień po dniu i rok po roku. W tem wszystkiem byłaby radość, jeśliby ziemia należała do Jerrolda, jeśliby Anna mogła jak dawniej pracować dla niego i z nim.

I jeśliby nie była tak znużona.

Ma dopiero dwadzieścia dziewięć lat, a Jerrold dopiero trzydzieści dwa. Przez ile jeszcze orek, zasiewów i żniw będą musieli żyć? I jak? Czy rok rocznie będą coraz bardziej zmęczeni, czy też coś zajdzie?

Nie. Nic nie zajdzie. Nic, o czemby mogli pomyśleć bez strachu. Ot, będzie się wlokło i już.

W dokolnej ciszy słyszała bicie swego serca, odmierzające czas, odmierzające jej cierpienie.

2.

Tej zimy Adelina i Jan Severnowie zjechali do Wyck Manor na Boże Narodzenie i Nowy Rok.

Adelina siedziała w bawialni z Madzią w niewyraźnej godzinie przed herbatą. Przez całe popołudnie sadziła się na rozmowę z Madzią i była teraz docna znudzona. Synowa zawsze ją nudziła. Nie mogła zrozumieć, poco Jerrold się z nią ożenił, kiedy najoczywiściej nie kochał się w niej.

— Dziwne to uczucie, — zauważyła wreszcie, — znaleźć się we własnym domu, który już nie jest własnym domem.

Madzia wyraziła nadzieję, że Adelina będzie się czuła jak u siebie.

— Ależ naturalnie. Nie dziw się, jeśli usłyszysz mię wydającą rozkazy służbie. Doprawdy nie mogę sobie wyobrazić, że Wilkins należy do kogo innego niż do mnie.

Madzia wyraziła nadzieję, że Adelina będzie go poczytywać za własnego lokaja.

Zaległo milczenie. Adelina spojrzała na zegar i stwierdziła, że do herbaty zostało pół godziny. Czem ten czas wypełnić? Nagle myśl jej przeszła od Jerrolda i jego dziwacznego ożenku z Madzią, na Annę.

— Czy Anna będzie tu dziś na kolacji? — spytała.

Madzia potwierdziła. Zaprosiła ją, gdyż państwo Severn z pewnością będą chcieli możliwie najczęściej ją widywać. Adelina odparła, że to bardzo poczciwie ze strony Madzi i znów poczęła się nudzić.

W perspektywie nie miała nic, tylko te nudy, nudy. Jedynie temat Anny nastręczał jaką taką ulgę. Rzuciła się nań, jakby uciekając od niebezpieczeństwa.

— A propos, Madziu. Na twojem miejscu nie pozwoliłabym Annie tak często widywać Jerrolda.

— Dlaczego?

— Dlatego, moja droga, że to nie jest dobrze dla niej.

— A jabym sądziła, — rzekła Madzia, — że to bardzo dobrze dla nich obojga, ponieważ się lubią. Aniby mi na myśl przyszło wtrącać się w ich przyjaźń. W ten sposób zarobiłabym sobie tylko na niechęć. A nie chcę, by Jerrold lub Anna mieli żal do mnie. Niech wiedzą, że choć się ożenił, mogą się przyjaźnić po dawnemu.

— O, ma się rozumieć, skoro ci to dogadza — —

— Dogadza mi to, — rzekła Madzia z mocą.

Mocny sprzeciw — oto czego krnąbrność Adeliny nie potrafiła nigdy znieść. W takich razach albo zmieniała wątek, albo wracała do pierwotnych swych twierdzeń. W danym wypadku zrobiła to drugie.

— Podkreśliłam, że to niedobrze dla Anny.

— Czemuż to?

— Bo kocha się w nim.

— Temu, — powiedziała Madzia ze wzmagającą się stanowczością, — n i e w i e r z ę. Nigdy nie zauważyłam nic podobnego.

— Widocznie ty jedna nie zauważyłaś. Wyłazi to z niej jak szydło z worka. Gdyby to była tajemnica, nie mówiłabym ci.

— Dla mnie to tajemnica, — ucięła Madzia, — więc może pomówimy o czem innem.

— Skoro wszyscy wiedzą, powinnaś i ty się dowiedzieć. Nam wszystkim wiadomo to od niepamiętnych czasów. Anna zawsze szalała za Jerroldem. Było to zabawne, kiedy miała dziesięć lat, ale teraz, gdy dobiega trzydziestki, rzecz jest nieco poważniejsza.

— Nie ma trzydziestu lat, — rzekła Madzia przekornie.

— Prawie trzydzieści. To niebezpieczny wiek, Madziu. Anna zaś jest niebezpieczną osobą. Jest i zawsze była najzupełniej bezwzględna.

— Myślałam, iż pani uważa ją za zakochaną w Colinie.

— Nigdy tego nie myślałam.

Madzia nienawidziła ludzi, którzy jej kłamali.

— To pocóż pani mówiła Jerroldowi, że są kochankami?

— Czyż ja mówiłam Jerroldowi, że są kochankami?

— Tak on twierdzi.

— Widać fałszywie mię zrozumiał. Colin dał mi słowo honoru, że nic nie było między nimi.

Lecz Madzia nie miała litości.

— Pocóż to uczynił, skoro pani nie żywiła podejrzeń? A jeżeli pani myliła się wówczas, to może myli się i teraz.

— Nie mylę się. Zapytaj Colina, zapytaj Eliota, zapytaj Aninego ojca.

— Ani mi się śni. Zapomina pani, że jeśli Jerrold jest mym mężem, Anna jest moją przyjaciółką.

— Więc na miłość Boską trzymaj ją zdala od pokus. Trzymaj ją zdala od Jerrolda. To złota dziewczyna i jestem do niej przywiązana. Ale lubi igrać z ogniem. Jeśli zamierza opalić swe ładne skrzydełka, nie należy puszczać jej blisko płomienia.

— Ufam skrzydełkom Anny.

— No a Jerrold? Mogłabyś i o nim pomyśleć.

— Myślę o nim. I jestem go pewna. Bez zastrzeżeń.

— Ja nie. Nikogo nie jestem pewna bez zastrzeżeń.

— Jedno jest jasne, — rzekła Madzia, — mianowicie, że możnaby już podać herbatę.

Wstała z miejsca z unicestwiającą godnością i zadzwoniła. Adelina dała do poznania uśmiechem, że jej nie pokonano ani przekonano.

Tego wieczoru Jan Severn przyszedł do pokoju żony, gdy ta się przebierała do kolacji.

— Radbym bardzo, — oświadczył, — by Ania mniej przepadała za tem utrapionem gospodarstwem. Poprostu zaharowuje się na śmierć. Nigdy nie widziałem jej tak mizernej. Żałuję, iż Jerrold dał jej tę fermę.

— I ja także. I również Jerrolda nie widziałam nigdy tak mizernego. Madzia postępuje zupełnie jak idjotka. Gdyby jej zależało na tem, by tamci dwoje kochali się w sobie, nie mogłaby wymyślić nic lepszego.

— Chyba nie uważasz, — spytał, — że na to się zanosi?

— A czy ja wiem! Z takimi ludźmi jak Jerrold i Anna, nigdy niewiadomo. Oboje są zupełnie postrzeleni. Skoro im o co chodzi, nie zważają na cierpienia innych. Gdyby Anna posiadała tyle moralności co... co... co mysz, wyniosłaby się stąd.

— Jestem zdania, — rzekł Jan, — że się mylisz. Anna nie jest taka... Spodziewam się, żeś nic nie mówiła Madzi.

Adelina zrobiła minę na temat „za kogo ty mię masz?" Podniosła swą śliczną nadąsaną twarz i upudrowała ją starannie.

3.

Luty.

Ziemia pachniała nadciągającym deszczem. Drzewa całą noc szemrały o tem, że jutro deszcz będzie. Teraz czekały.

W południe wiatr opadł. Grube chmury barwy brudnej wełny, własnym ruchem zbite w gromadę, powlokły niebo i otoczyły wałem, wisząc tuż nad widnokręgiem. Lekkie falowanie tej siwej masy stłoczyło ją szczelniej jeszcze. Powietrze pęczniało dżdżem. Tam i sam odrywał się od chmur kłębiasty opar, jakby wyrzucony olbrzymim jakimś wybuchem wewnętrznym. Lekkie te tkanki zawisły niby zmięty rąbek, wydłużając się, opadając aż na szczyty pagórków zachodnich.

Anna szła polami ku dworowi, Jerrold zaś zdążał w stronę Manor Farm. Spotkali się przy sosnowej szkółce w chwili, gdy spadły pierwsze duże krople.

Zawołał: — Słuchaj, nie powinnabyś wychodzić w taki dzień.

W styczniu bowiem Anna chorowała przelotnie na zapalenie opłucnej i lekarze zalecili jej ostrożność.

— Idę odwiedzić Madzię.

— No nie! — sprzeciwił się. — Zaraz lunie jak z cebra.

— Madzia wie, że ja się deszczu nie boję, — zaśmiała się.

— Madzia dostałaby ataku, gdyby widziała cię tutaj. Spójrz-no na te chmurzyska.

Na zachodzie i północy siwe wały drgnęły i płachta czarnego deszczu połączyła niebo z ziemią. Nagórze ciemne tkanki cieńczały i wydłużały się. Sosny dygotały, jęcząc i rzężąc w nawałnicy, która z każdej pochyłej gałęzi płynęła strugą, niby z otwartego kurka.

— Uciekajmy! — powiedział Jerrold. I śmiejąc się pobiegli razem poprzez pola do Aninego namiotu. Jerrold zatknął otwór.

Deszcz bębnił o napięty brezent i chlupotał na przemokłej ziemi. Krople odpryskiwały od źdźbeł, które się pod niemi gięły i rozgartywały. Każda kępka trawy była wodotryskiem. Pola się zaszkliły za lśniącą, szklistą, paciorkową kotarą dżdżu.

Wiatr zerwał się nanowo, potrząsnął dżdżystą kotarą i wionął do namiotu. Deszcz napłynął do ziemi, przemaczając zbiegom stopy. Jerrold uszczelnił spód schroniska. Teraz byli bezpieczni od potopu.

Okryte szarym kocem łóżko Anny stało w rogu. Usiedli na niem przy sobie.

Chwilkę milczeli, opanowani wspomnieniami. Byli tu zamknięci ze swoją przeszłością. Z jaskrawej, nieswojskiej tajemnicy ulewy, wracała ona do nich, żywa i bliska.

Położył rękę na kurtce Anny, by się przekonać, czy nie wilgotna. Pod jego dotykiem dziewczyna zadrżała.

— Nie przemokłaś, co?

— Nie, — odparła i znów zakaszlała.

— Anno, okrutnie mi się nie podoba ten twój kaszel. Nigdy dawniej nie kaszlałaś.

— Bo nigdy dawniej nie miałam plewrytu.

— Nabawiłaś się go tylko dlatego, żeś była strasznie wyczerpana.

— Ale już wszystko minęło.

— Nie zupełnie. Nie jestem o ciebie spokojny. To się może powtórzyć. Ciepło ci?

— Ciepło.

— Nogi masz suche?

— Tak, tak. Mój kochany, nie kłopocz się; jest mi doskonale.

— Nie kłopotałbym się, gdybyśmy zawsze byli razem. Ale ta rozłąka, ta niewiedza...

— Daj pokój, — prosiła, — nie mogę tego znieść.

I znów umilkli.

A to milczenie było im bardziej rzeczywiste nad rozgłośną burzę. Tkwiło w niem niebezpieczeństwo, wciągało ich ono coraz bardziej, wciągało rzewnością przypomnień. Przypominało im ono długie cisze przed namiętnością. Kiedyś czekali tu, w podobnem zawieszeniu, na szczytową, oszołomną chwilę rozkoszy.

Porwał ich jakiś zawrót głowy; szukali słów, któremiby mogli przerwać milczenie, i nie znajdywali żadnych. A burza trzymała ich w miejscu.

Wreszcie odezwała się Anna:

— Jak sądzisz, czy to się już kończy?

— O, nie. Dopiero się zaczyna.

Wicher targał namiotem, jakby w zamiarze wygnania ich z niego. Deszcz spływał potokiem z pochyłych płócien, niczem wylewana z kubła woda.

— Póki to trwa, musimy siedzieć jak myszy pod miotłą, — powiedział.

I znów cisza, długa, uporczywa, uwodna. Co jakiś czas Anna odkaszliwała tem krótkiem, twardem chrząkaniem, które martwiło go i straszyło. Czuł, że powinienby odejść, bo każda minuta wzmaga niebezpieczeństwo. Ale nie mógł odejść. Mówił sobie podświadomie, że po tem wszystkiem, co mogli byli zrobić, a czego nie zrobili, wolno im żądać w nagrodę od niebios tej chwilki szczęścia.

Odwróciła się od niego kaszląc, i ten znak jej słabości, widok jej szczupłych drgających ramion, napełnił go współczuciem, zmieszanem z pożądaniem. Pomyślał o tem, jak niesprawiedliwie, jak okrutnie życie

obeszło się z Anną i jak dalece on sam jest współwinien jej udręki. Jego litość nad Madzią wydała mu się zdradą względem Anny, jego honor — tchórzostwem. Zamiast piętrzyć coraz nowe przegrody, nie powinien był dopuścić, by cokolwiek rozłączyło go z Anną. Ani nawet Madzia. Ani nawet honor. Honor jego nierównie bardziej należy do Anny niźli do Madzi. Głównie zawiniła jego opętańcza głupota, nie miał więc prawa pozwalać, żeby płaciła za to Anna.

Przed godziną jeszcze owe przegrody stały między nimi mocno. Obecnie chwyciła go wściekła chęć zburzenia ich i przedarcia się do niej. Tym razem porwie ją i nigdy już nie puści.

Myśli jego potoczyły się szlakiem namiętności. Nagle obrócił się — spojrzeli po sobie — i Jerrold przestał myśleć wogóle. Wszystkie myśli utonęły mu w gorących, wzbierających mrokach krwi.

— Anno... — wyjąkał, — Anno... — Głos jego brzmiał jak krzyk.

Wstali raptownie i coś jakby rzuciło ich o siebie. Trzymał ją silnie, zwierał w objęciach, całem ciałem rwąc się ku niej. Trzymali się siebie rozpacznie, jakgdyby to jedno mogło ich uchronić od zatapiającej ich, rozpłomienionej ciemności; a im bardziej się tulili, tem natarczywiej ów mrok napływał, fala po fali.

I w tej ciemności usłyszał ją płaczącą, by ją puścił.

— Nie zmuszaj mnie Jerroldzie, nie zmuszaj!

— Cicho, cicho.

— Och, czemuśmy tu przyszli!

Gniótł ją o siebie, ona zaś starała się go odepchnąć rękoma słabemi, które dawniej były silne. Czuła, że jest w jego ramionach krucha, najzupełniej bezwładna.

— Nie mogę, — popłakiwała Anna, — nie mogę. Wydawałoby mi się, że Madzia jest tu i patrzy na nas... Nie przymuszaj mnie.

Puścił ją nagle.

Pokonała go zupełna bezsiła jej oporu. Nie mógł jak bydlę walczyć, dla swej żądzy, z tak wątłą istotą.

— Jeżeli odejdę, czy zostaniesz tu aż do końca burzy?

— Tak. Nie gniewaj się, Jerry. Ależ ty przemokniesz!

To go rozśmieszyło. I ze śmiechem opuścił ją. A potem łzy napłynęły mu do oczu, raniąc powieki, niby krew sącząca się z suchej rany. Połączyły się one z deszczem, oślepiając go.

Anna zaś siedziała na szarem łóżeczku w namiocie, patrzyła na ulewę i płakała.

Rozdział dziewiętnasty:

ANNA I ELIOT

1.

Teraz wiedziała, co ma począć.

Wyjedzie stąd i nigdy już nie zobaczą się z Jerroldem, dopóki są młodzi, dopóki czuć potrafią. Wyjedzie z Anglji gdzieś tak daleko, żeby się nie mogli spotkać. Będzie pracowała na roli w Kanadzie.

Noc całą spędziła bezsennie, obracając w głowie tę jedną myśl o wyjeździe. Nie pozostaje jej nic innego, niema więc miejsca na wahania ani zgryzotę. Ona i Jerrold nie mogą tutaj dłużej wytrzymać razem, wciąż na skraju przepaści, wciąż torturowani wzajemnym widokiem.

I w tem czuwaniu przyszedł na nią pokój, który niosą ze sobą wszystkie wyraźne i nieodwołalne postanowienia. Jej umysł nigdy już nie będzie się szarpał w niepewności. — — — Nad ranem usnęła.

Zbudziła się w zdrętwiałem stropieniu, ze świadomością jakiejś przeraźliwej choć nieokreślonej klęski. Coś się z wieczora zdarzyło, lecz nie pamiętała, co. Coś się zdarzyło. Nie. Coś ma się zdarzyć. Usiłowała zapaść w sen, walcząc z powrotem przytomności; lecz świadomość była silniejsza i wzięła górę.

Teraz przypomina sobie. Ma wyjechać. Już nigdy nie zobaczy Jerrolda. Udaje się do Kanady.

Kanada. Ta dźwięczna trzeźwa nazwa czyniła całą sprawę realną i niecofnioną. Jest to rzecz, która się zdarzy naprawdę i rychło. Jej, Annie. Wyjeżdża. A wyjechawszy, już tu nie wróci.

Wstała z łóżka i patrzała przez okno. Ujrzała zielone pola zbiegające ku rzece, i drogę, i — poza drogą, naprawo — wznoszące się pola dworskie z sosnową szkółką. A w umyśle, bardziej nad to wszystko rzeczywiste, zarysowały jej się pokoje dworu, ogród, wielobarwne pagórki toczące się i toczące niby fale, aż do równej, ciemnoszafirowej linji horyzontu. Widownia jej dzieciństwa, całej jej młodości, wszystkiego jej szczęścia, którą tyle, tyle razy oglądała tęsknie w snach i wspomnieniach. Jakże ją opuścić? Jak żyć w nieznośnej udręce tęsknoty?

Jeżeli zaś stchórzy, jeżeli będzie się bała cierpienia, to jakże ujść mu? jak ujdzie mu Jerrold? O ile Anna zostanie tutaj, ulegną oboje, będą znów kochankami i znów poczciwa, wnikliwie oskarżająca twarzyczka Madzi będzie ich prześladowała. Niema dla nich ucieczki; a wkońcu wyrzuty sumienia staną się równie nieznośne jak rozłąka. Anna nie może kazać Jerroldowi, by to wszystko przeżywał raz jeszcze.

Nie. Nie warto żyć, jeśli się jest wystraszonym tchórzem. A w całem tem strapieniu Anna wciąż jeszcze miała poczucie, że żyć warto, chociażby i w nieszczęściu. Życie jest albo twym przyjacielem, albo wrogiem. Jeśli przyjacielem, tedy mu służysz; jeśli wrogiem, to stawiasz mu opór i nie dajesz się pobić — a wróg przedzierzga się w niewolnika. Cokolwiek zajdzie, pozostaje ci praca — orka, siejba, żniwa i znów orka. Ziemia czeka. Anna pomyślała o nieznanej ziemi kanadyjskiej, czekającej na jej pracę.

Jerrold nie jest tchórzem. Nie boi się... a właściwie boi się jedynie choroby i śmierci ukochanych; Anna zaś nie zamierza chorować ani umierać.

Będzie musiała powiedzieć mu. Pójdzie do niego na pole i powie.

Lecz nim to uczyni, należy zrobić tak, by rzecz była nieodwołalna.

Napisała więc do towarzystwa okrętowego, zamawiając kartę przejazdu za dwa tygodnie; jednocześnie wysłała list do Eliota, prosząc, by poszedł do biura i zapewnił jej możliwie przyzwoitą kajutę. Pojechała na pocztę, wrzuciła listy i dopiero potem udała się na Zapole, gdzie Jerrold doglądał pługów.

Spotkali się na przeoranej ziemi. Tu, na otwartem powietrzu, nic im nie groziło.

— Cóż tam, Aniu? — zapytał.

— Nic. Pragnę z tobą pomówić.

— Zgoda.

Stanowczość jej twarzy i twardy jej głos nasunęły mu złe przeczucie.

— Rzecz jest poprostu taka, — rzekła. — To, co się stało wczoraj, nie powinno się powtórzyć.

— Nie powtórzy się. Przysięgam. Postąpiłem jak bydlę. Straciłem głowę.

— Nie wiadomo, czy się nie powtórzy. Jerry, my tak żyć nie możemy. Zbyt straszne jest to napięcie.

— Nie ufasz mi?

— Nie ufam sobie. A i ciebie trzeba oszczędzać.

— O, mnie! To nic nie znaczy.

— No więc powiedzmy, że o mnie chodzi. Dla mnie to wypada na jedno. Nie dopuszczę, by się tamto powtórzyło. Wyjeżdżam.

— Wyjeżdżasz...?

— Tak. I tym razem nie wrócę.

Głos uwiązł mu w gardle. Nie zdołał nic powiedzieć.

— Za pół miesiąca jadę do Kanady.

— Boże mocny. To niemożliwe.

— Owszem. Zamówiłam już bilet.

Spopielaciał nagle upiornie. Serce mu osłabło, zamroczyło go.

— Nic w świecie mnie nie powstrzyma.

— Nie powstrzyma cię Madzia? Jeśli to zrobisz, domyśli się wszystkiego. Czyż nie widzisz, jak to nas zdradzi?

— Nie. To zdradzi mnie tylko. Jeśli Madzia zapyta, czemu odjeżdżam, powiem, że się kocham w tobie. I że nie mogę tego znieść, że nazbyt się męczę. Niech lepiej myśli, iż kocham ciebie, niżli, że ty kochasz mnie.

— Pomyśli to i tak.

— W takim razie będę zmuszona kłamać. Narażam się na to, bo innego wyjścia nie mam... Och Jerry, nie patrz tak strasznie. Muszę wyjechać. Wszak postanowiliśmy, że nie chcemy jej zwodzić ani unieszczęśliwić. Cóż więc pozostaje?

— Znosić.

— A jakże długo potrwa to według ciebie? Nie możemy tego znieść. Spójrz na rzeczy trzeźwo. To takie beznadziejnie proste. Gdybyśmy byli parą łajdaków, myślących tylko o sobie, nie myślących o Madzi, wszystko byłoby nam obojętne. Lecz nie chcemy być łajdakami. Nie chcemy jej oszukiwać, a z drugiej strony nie możemy wyznać jej prawdy. Nie możemy się widywać bez rozdzierającego pożądania i nie możemy się pożądać, aby wkońcu nie ulec. Powtarza się to, ilekroć na minutę bodaj zostaniemy sami. Przeto nie powinniśmy się widywać. Czyż możesz mi wskazać jakiekolwiek inne załatwienie?

— Ale dlaczego na tobie właśnie ma się skrupić wszystko najgorsze?

— Bo jedno z nas musi zejść z pola. Tem jednem nie możesz być ty. Przytem mój odjazd — to jeszcze nie najgorsze. Ciężej będzie tobie... pozostać tutaj, gdzie wszystko przypomina... Mnie przynajmniej będą odrywały nowe rzeczy i zajęcia.

— Nic cię nie oderwie. Zatęsknisz się na śmierć.

— Nie, nie. Zbyt wiele będę miała pracy. Nie masz się o mnie trapić, Jerroldzie.

— Więc wyrzekasz się wszystkiego? Fermy, której tak pragnęłaś? Nic nie będziesz miała.

— Nic mi nie potrzeba. Łatwiej porzucić rzeczy, które przypominają na każdym kroku, niż trzymać się ich kurczowo... Bądź pewien, że gdybym widziała jakie inne wyjście — —

— Ależ nie możesz jechać, szczególniej teraz. Jesteś chora.

— Tam wrócę do zdrowia.

— I cóż ty będziesz robiła w tej Kanadzie? Inna rzecz, gdybyś miała tam co upatrzonego.

— Coś sobie wynajdę. Na początek będę pracowała na jakiem rancho, nim się wprawię w kanadyjską gospodarkę. Później rozejrzę się za kawałeczkiem ziemi do nabycia. Pieniądze mam: cały spadek po dziadku Everitcie i kwota za sprzedaż fermy. Istne bogactwo. Dam sobie radę doskonale.

— Kiedyś to wszystko wymyśliła?

— Tej nocy.

— Rozumiem. To z mego powodu.

— Nie, z własnego tylko. Ostatecznie, to już najłatwiejsze wyjście.

— Dla ciebie, czy dla mnie?

— Dla nas obojga. Doprawdy, to jedyne uczciwe załatwienie. Powinnam była to zrobić już dawno.

— Oznacza to rozłąkę nazawsze. Nigdy nie wrócisz.

— Nigdy, pókiśmy młodzi. Gdy oboje postarzejemy, gdy będziemy zbyt starzy aby odczuwać, wówczas wrócę kiedyś i znów będziemy przyjaciółmi.

Wola jego daremnie walczyła z jej wolą. Wreszcie dał pokój, przybity i wyczerpany.

Szli razem przeoraną rolą ku pastwisku, a stamtąd do stawu przy młynie. Na przeciwległem polu widniał ich namiot.

— Co w tym roku zasiejesz na „Siedmiu Akrach?"

— Jęczmień, — odrzekł.

— Nie można. Jęczmień był już zeszłego roku.

— Tak?

I znów zamilkli. Jerrold borykał się z uczuciem śmiertelnej niedomogi. Anna nic nie mówiła, nie mogąc zaufać swojemu głosowi. Przy bramie Barrow Farm rozstali się.

2.

Zdziwione oczy Madzi przypatrywały mu się przez stół. Usteczka jej o opuszczonych kącikach były rozchylone niepokojem, jakby lada chwila miała coś powiedzieć. Lustro pokazało Jerroldowi popielatą, ziemistą jego twarz; nie dziw, że ta twarz przestraszyła żonę. Usiłował jeść; ale widok i zapach pieczonej baraniny przyprawiał go o mdłości.

— Cóż to, Jerroldzie, nie jesz?

— Nie, nie mogę. Daruj.

— Mam zimne kurczę. Może skosztujesz?

— Dziękuję, nie.

— Ale zjedzże co.

— Nie mogę, jest mi niedobrze.

— W takim razie nie siedź, idź się położyć.

— Jeżeli pozwalasz...

Poszedł do siebie, w dalszym ciągu doznając mdłości. Położył się i starał zasnąć. Głowa bolała go gwałtownie, a każdy ruch potęgował ten ból. Nie mógł zasnąć, nie mógł uleżeć spokojnie. Wkońcu wstał i wyszedł ponownie na Zapole, gdzie odbywała się orka. Choć nie zdołał przezwyciężyć cielesnych przejawów choroby, kazał sobie jednak ruszać się, chodzić miedzami, doglądać traktorów; niosła go jedynie i wyłącznie siła woli. Szczęk i łoskot traktorów wdrążał mu się w głowę, wzmagając ból. Ogłuszały go ciosy tęten w skroniach oraz hałas, tak, że nie mógł myśleć. Nie chciał myśleć; rad był z obmierzłych wrażeń, które mu w tem przeszkadzały. Szedł z pola na pole, unikając granic Barrow Farm, by czasem nie zobaczyć Anny.

Gdy słońce zaszło i na świecie pociemniało, wrócił do domu.

Przy kolacji starał się jeść, choć znów go nudziło. Wsparł się o poręcz krzesła, zmuszając się wysiedzieć przez cały posiłek i rozmawiać z Madzią. Potem poszedł do łóżka i przeleżał bezsennie do rana.

Następny dzień minął w tenże sposób, następna noc również. I wciąż uprzytamniał sobie łagodną twarzyczkę żony, śledzącą go wystraszonemi oczami, z niezadanem pytaniem na ustach. Bał się powiedzieć jej o wyjeździe Anny, ażeby nie odgadła właściwego powodu jego stanu.

Trzeciego dnia wszelakoż, gdy mu oświadczyła, że idzie odwiedzić dziewczynę, oznajmił jej to.

— Och Jerroldzie, chyba nie żywi tego zamiaru na serjo?

— Owszem. Mówiłem co tylko mogłem, by ją zatrzymać, ale bez skutku. Zamówiła już sobie kajutę.

— Ale dlaczego, dlaczego pragnie odjechać?

— Tego ci powiedzieć nie mogę. Zapytaj ją sama.

— Czy się co stało?

— Cóż miało się stać?

— O, czy ja wiem. Kiedy cię o tem powiadomiła?

Zawahał się. Niebezpiecznie było kłamać Madzi, która niebawem mogła się dowiedzieć prawdy od Anny.

— Onegdaj.

Oczy Madzi utkwione były w nim. Rozważała. Wiedział, że mówi sobie: „A więc tego dnia, gdyś wrócił taki dziwny i nieswój”.

— Jerry... Możeś ty ją czem dotknął?

— Nie.

— W głowie mi się nie mieści, czemu chce wyjechać.

— Ani mnie. Ale wyjeżdża.

— Pójdę do niej i spróbuję powstrzymać ją.

— Spróbuj. Lecz nie uda ci się — skoro mnie się nie udało, — powiedział.

3.

Wczesnem południem Madzia odwiedziła Annę.

Nie rozumiała, czem się dzieje, że Anna chce opuścić Barrow Farm, dokąd tylko co się przeniosła i gdzie wspólnemi siłami urządzili jej takie miłe gniazdko; nie rozumiała, czem się dzieje, że chce ich opuścić, skoro ich lubi i wie, że oni ją lubią.

— Wszak lubisz nas, Aniu?

— O tak, o tak.

— I pragnęłaś tej fermy. Nie rozumiem twego odjazdu, gdy wreszcie dostałaś ten folwark, gdy się tu urządziłaś i gdy Jerrold tak się starał upiększyć ci tę sadybę. To do ciebie nie podobne, Aniu.

— Ja wiem. Wygląda to zapewne okropnie, ale nic nie poradzę, moja złota Madziu. Muszę. Nie zatrzymuj mnie. To jeszcze utrudnia mi sprawę.

— „Utrudnia”? A więc jest ci trudno, a więc właściwie nie życzysz sobie tego?

— Oczywiście nie życzę. Lecz jestem zmuszona.

Madzia medytowała, usiłując pojąć.

— Czy to... czy to dlatego, żeś tu nieszczęśliwa?

Anna milczała.

— Jesteś nieszczęśliwa. I byłaś nią oddawna. Czy nie moglibyśmy zaradzić?

— Nie. Nikt zaradzić nie może.

— Nie ma to, — rzekła wreszcie Madzia, — żadnego związku z Jerroldem?

— Nie zadałabyś mi, Madziu, tego pytania, gdybyś wątpiła.

— Może nie wątpię. Ty go bardzo kochasz, Aniu?

— Tak, bardzo go kocham i nie potrafię tego znieść.

— Tak dalece, że aż musisz wyjechać?

— Tak dalece, że aż muszę wyjechać.

— Nader jesteś dzielna.

— Albo nader tchórzliwa.

— O nie, tchórzliwa nie jesteś... Aniu, moja miła, tak mi smutno.

— Nie smuć się. To moja wina. Poco się wtrąciłam w taki stan? Nie mówmy o tem, Madziu.

— Dobrze, nie mówmy. Ale bardzo mi smutno... Jedno tylko: nie powzięłaś z tego powodu nienawiści do mnie, co?

— Ty wiesz, że nie.

— Och Aniu, jakaś ty wspaniała!

— Ani wiesz, jakam daleka od tego.

Uodporniła się przeciw grotom Madzinej dobroci, Madzinego zaufania. Żaden cios ze strony Madzi już nie jest dla niej groźny. Nic już nie ma znaczenia. — Nie ma znaczenia ufność ani dobroć Madzi, skoro Anna zrobiła wszystko, na co ją stać, skoro wyjeżdża, skoro nigdy już nie ujrzy Jerrolda — nigdy, aż minie ich młodość i przestaną czuć.

4.

Tego popołudnia do Wyck Manor przyjechał Eliot. Jego przybycie było odpowiedzią na list Anny.

Udał się do Barrow Farm około piątej, o której to godzinie kończyła pracę. Nie zastawszy jej, zaczekał w domu.

Czekając, rozglądał się po pokoju. Oto — mówił sobie — miejsce, które Anna tak długo pragnęła mieć na własność; oto dom, który przygotowali dla niej. Musiało zajść coś wyjątkowego, jeżeli postanowiła go opuścić. Widocznie została doprowadzona do kresu wytrzymałości. Załamała się. Z pewnością jest w tem ręka Jerrolda.

Usłyszał jej kroki na brukowanej dróżce, potem na progu. Stanęła w drzwiach i patrzyła nań zdziwiona.

— Eliocie, co ty tu robisz?

— Oczekuję na ciebie. Czyż nie przypuszczałaś, że przyjadę?

— Aby się ze mną pożegnać? Bardzo to miłe z twej strony.

— Nie. Nie ażeby się pożegnać. Gdybyś wyjeżdżała, tobym się stawił dopiero na oznaczony dzień, by ci pomóc.

— Otóż właśnie wyjeżdżam. Zająłeś się moją kajutą?

— Nie, nie zająłem się. Najpierw musimy się rozmówić.

Zdawał się być śmiertelnie zmęczonym. Przypomniała sobie, iż jest gospodynią.

— Piłeś herbatę?

— Jeszcze nie. Musisz mię poczęstować. Wówczas pogadamy.

— Gadanie niewiele pomoże.

— Niewiadomo.

Zadzwoniła. Podano herbatę i podczas gdy się posilali, Eliot mówił jej o pogodzie, o swojej pracy, o skończonej właśnie książce na temat amebicznej dyzenterji, o Colinie i zupełnem jego wyzdrowieniu. Żadne ani słówkiem nie wspomniało o Jerroldostwu.

Po sprzątnięciu ze stołu odwrócił się w fotelu i patrzył na nią swemi poczciwemi, osadzonemi głęboko, uważnemi oczyma. Lubiła oczy Eliota i jego osobliwą, rozumną twarz, tak podobną i nie podobną do ojcowskiej, tak nawskróś inną niż twarz Jerrolda.

— Nie potrzebujesz mi wyjaśniać, czemu chcesz jechać, — ozwał się wreszcie. — Widziałem Jerrolda.

— Mówił ci?

— Nie. Ale wystarcza spojrzeć na niego.

— Sądzisz, że Madzia widzi?

— Nie umiem ci powiedzieć. Głupią Madzia nie jest. Twój wyjazd dziwi ją napewno.

— Wytłumaczyłam jej. Powiedziałam, że się kocham w Jerroldzie.

— I cóż ona?

— Nic. Tylko, że jej smutno. Wyznałam jej, ażeby nie myślała, że to on mnie kocha. Tego wiedzieć nie powinna.

— Nie jest głupia, — ponowił.

— To prawda. Ale jest dobra. Ufa mu całkowicie. Ufała i mnie... Eliocie, to było najgorsze — ta jej ufność. To nas złamało.

— Nic dziwnego, że ci ufała.

— A ty?

— Wiesz dobrze.

— A jednak, — rzekła, — mam wrażenie, żeś wiedział. Wiedziałeś oddawna.

— Jeżelim nie wiedział, to wiem teraz.

— Wszystko?

— Wszystko.

— Skąd? Dlatego, że wyjeżdżam? tak?

— Niezupełnie. Widziałem cię szczęśliwą i widziałem cię nieszczęśliwą. Widziałem cię z Jerroldem. Widziałem cię z Madzią. Nikt innyby nie dostrzegł, lecz ja dostrzegłem, bo znam cię głęboko. I dlatego także, że się tego bałem. Przytem wyznałaś mi prawie.

— Tak jest. A ty odrzekłeś, że toby ci nie zrobiło różnicy. Czy tak?

— Żadnej. Wiem, że cokolwiek uczyniłaś, nie uczyniłaś dla siebie tylko. Zrobiłaś to dla Jerrolda. A siebie unieszczęśliwiłaś.

— Nie, nie! Byłam szczęśliwa. Dopiero później, z powodu Madzi... To było takie okropne: zwodzić ją, kryć się i kłamać. Wszystko, com wtedy mówiła i robiła, odczuwałam jako kłamstwo. To było moją karą, ta pieczęć na ustach. Ale nawet tobym zniosła, gdyby nie Jerrold. On również męczył się tem rozpaczliwie.

— Nie wątpię. Gdybyście oboje nie byli tacy zacni, kara nie byłaby karą.

— Najstraszniejszą była mi świadomość, że przywiodłam Jerrolda do ukrywania i kłamania.

— O, nie mów mi tylko, żeś pokrzywdziła Jerrolda!... Nie zaznał od ciebie nic oprócz dobra. Uczyniłaś go piękniejszym i szlachetniejszym, niż byłby bez ciebie.

— Uczyniłam go strasznie nieszczęśliwym.

— Nie więcej, niż on ciebie. Zresztą było to nieodzowne. Mówiłem ci już dawno, że bez ciężkich cierpień Jerrold nie wyjdzie na człowieka. I otóż teraz — przeżył te ciężkie cierpienia. I wskutek tego uzyskał duszę. Zanim cię nie pokochał, niebardzo ją posiadał.

— Co chcesz powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że go obchodziło tylko własne zadowolenie. Teraz o niczem nie myśli, jeno o Madzi i o tobie. Ciebie kocha więcej niż siebie. Nawet Madzię kocha więcej — lub przynajmniej więcej o niej myśli — niż przed pokochaniem cię. Są więc dwie osoby, o które bardziej się troszczy, niż o swoje szczęście. I więcej niż dawniej obchodzi go honor. Własny i twój. Twoja to zasługa. Pomyśl tylko, coby się z nim stało, gdybyś była innego rodzaju kobietą.

— Wówczas nie pokochałby mnie.

— Zapewne masz słuszność. Dobrze wybrał.

— Zawsze byłeś o wiele za dobry dla mnie.

— Nie, Anno. Chcę tylko, żebyś należycie spojrzała na rzeczy i siebie samą ujrzała we właściwem świetle. Nie powinnaś siebie poniżać.

— Nie poniżam siebie, gdyż byłoby to poniżeniem Jerrolda. Smucę się z powodu Madzi, oto wszystko. Gdybym miała choć szczyptę rozsądku, nie znajomiłabym się z nią. Byłabym się przeniosła gdzieś nie nadto daleko, gdzie Jerrold mógłby mię odwiedzać i gdzie nigdybym nie zobaczyła Madzi. Oto jak należało postąpić. Bylibyśmy oboje szczęśliwi.

— Tak, Jerrold byłby szczęśliwy. I pozostałby bez duszy. I rok po roku oszukiwałby Madzię. Nie żałujesz szczerze, Anno, że tak nie postąpiłaś.

— Istotnie, dziś już nie żałuję. I już nie gryzę się Madzią. Odjeżdżam. Wyrzekam się Jerrolda. Więcej dokonać nie mogę.

— Nie potrzebowałabyś uciekać, gdybyś uczyniła zadość mej prośbie i wyszła za mnie. Kiedyś mówiłaś, że dla ratowania Jerrolda możebyś się na to zdecydowała.

— Mówiłam tak? Nie wydaje mi się.

— Zapomniałaś, ale ja pamiętam. Nie zdajesz sobie sprawy, jak przeraźliwą rzecz przedsiębierzesz. Porzucasz wszystko i wszystkich, co ci są mili. Poprostu umrzesz ze zmartwienia.

— Bajki, Eliocie. Wiesz doskonale, że się ze zmartwienia nie umiera. Umiera się wskutek nieszczęśliwych wypadków, chorób, ze starości. I ja umrę ze starości. Przytem za jakie lat dwadzieścia jeszcze tu wrócę.

— Dwadzieścia lat. Najpiękniejszy okres twego życia. Będzie ci nie do zniesienia samotno. Nie wyobrażasz sobie, co to będzie.

— Owszem, owszem. Dla mnie to nie pierwszyzna. Już bywałam samotna, a ratowałam się pracą.

— Tak. W Anglji. Gdzie mogłaś widywać nas od czasu do czasu. Ale tam, wśród ludzi nigdy dotąd nie spotykanych... którzy mogą okazać się bydlętami...

— Niekoniecznie.

Przekładał w dalszym ciągu namiętnie: — Wśród ludzi, których nie kochasz i nie pokochasz nigdy. Właściwie nigdy nie kochałaś nikogo prawdziwie poza nami.

— Masz słuszność. Wyjeżdżam z powodu tej miłości. Nie mogę pozwolić, by Jerrold tak się męczył. Trzeba z tem skończyć.

— Odjeżdżasz wyłącznie dla ratowania Jerrolda. Ażeby uniemożliwić sobie powrót do niego. Ale wszak gdybyś za mnie wyszła, zabezpieczyłoby to was oboje; odcięłoby ci to powrót. Gdybyś była mą żoną, Jerrold nie zabrałby mi ciebie. Gdybyś była mą żoną, nie złamałabyś mi wiary. Gdybyś miała dzieci, nie skrzywdziłabyś ich. Małżeństwo stanowiłoby ci opokę niezawodną.

— Niepodobieństwo, Eliocie. Nic się nie zmieniło. Należę do Jerrolda, jak zawsze doń należałam. Nie jest to sprawa fizyczna. Choćby mię odgrodziły od niego tysiące mil, zawsze będę doń należeć. Dusza moja, czy umysł, czy jak to tam nazwać, nie może się oderwać od Jerrolda... Powiadasz, że gdybym należała do ciebie, nie mogłabym się oddać Jerroldowi; jakżeż więc, należąc do niego, miałabym się oddać tobie?

— Rozumiem. Więc rzeczy tak się mają?

— Tak.

Eliot nie powiedział nic więcej. Pojął, że tym razem klamka zapadła.

5.

Madzia siedziała sama w swym pokoju, rozmyślając. Jeszcze nie wiedziała o przyjeździe Eliota. Przybył, gdy siedziała u Anny, potem rozminęli się w drodze, bo Madzia jechała wzdłuż wzgórków, on zaś szedł pieszo polami.

Z początku nie pomyślała o Jerroldzie. Duszę jej pochłonęła całkowicie Anna i jej niedola. Nic innego nie widziała. Przypomniały jej się słowa Adeliny, że Anna zakochana jest w Jerroldzie. Świekra mówiła: „Gdy była malutką dziewczynką, było to nawet dość zabawne". A więc Anna kochała go całe życie. I całe życie musiała się bez niego obywać.

Madzia się zastanowiła: Może byłby ją pokochał i poślubił, gdyby nie ja. A mimo to ona mię lubi.

Oto jest wielkoduszność Anny.

Ale skoro Anna durzyła się w Jerroldzie oddawna i wszyscy to widzieli — wszyscy Fieldingowie oraz Jan Severn — czemuż ona nie dostrzegła tego? Widziała tylko doskonałą przyjaźń i usiłowała przyjaźni tej nie naruszyć, tak, żeby ożenek Jerrolda z nią, Madzią, w niczem nie uszczuplił swobody i radości tamtych dwojga. Przypomniała sobie, jak szczęśliwa była Anna, gdy ją zobaczyła po raz pierwszy, i pomyślała: skoro wówczas była szczęśliwa, dlaczegóż nie jest nią teraz? Jeśli kochała Jerrolda całe życie i całe życie obywała się bezeń, czemuż wyjeżdża obecnie?

Chyba, że coś się stało.

Wtedy to przyszedł Madzi na myśl Jerrold, jego smutna, zbiedzona twarz, jego nagłe zasłabnięcie. Działo się to w dniu, kiedy był u Anny i kiedy oznajmiła mu swój zamiar. Odtąd zmienił się zupełnie, nie spał i nie jadł.

Rozrzucone klocki łamigłówki leżały przed Madzią i na pierwszy rzut oka wydawało się, iż żaden się nie dostroi. Wszakże ten jeden kloc dostroił się: choroba Jerrolda w połączeniu z odjazdem Ani. Z przerażeniem w sercu zestawiła te dwie sprawy i ujrzała wyłaniającą się z nich trzecią. Jerrold jest chory, ponieważ Anna wyjeżdża. Nie chorowałby, gdyby jej nie kochał. I jeszcze coś. Anna wyjeżdża nie przez wzgląd na siebie. A więc on ją miłuje. I z pewnością powiedział jej. Tak, oto co się stało.

Gdy Madzia ułoży wszystkie kawałki łamigłówki, będzie miała całą prawdę.

Ale Madzia nie chciała się więcej dowiadywać. Tego, co już wiedziała, było dosyć, by złamać jej serce. Upor-

czywie trzymała się wiary w ich zacność. Są nieszczęśliwi, ponieważ wyrzekli się siebie. A pod nurtem myśli, niby krótki, przeszywający ból, drgało przeczucie końca. Pamiętała, że kiedy po raz pierwszy zobaczyła ich razem, byli szczęśliwi. Jeżeli są nieszczęśliwi teraz, gdyż wyrzekli się siebie, to czy wówczas byli szczęśliwi dlatego, że się nie wyrzekli? Przez chwilę pytała siebie: „Czy byli — —?" i nie miała odwagi dokończyć pytania. Dość, że teraz wszystkim jest źle i nigdy już dobrze nie będzie. Ani Annie, ani Jerroldowi. O ich niedoli wprost trudno myśleć. A jednak myślała, zapominając o własnej.

Rozłomotało jej się serce i Madzia sądziła już, że to ból się zbliża. Potem myśl o Annie i Jerroldzie, o sobie samej, o ich potrójnem, nierozdzielnem nieszczęściu unicestwiła wszelką myśl inną. I ciało jej nie doznało bólu, jakby wszystko, co w Madzi było fizycznego, ustąpiło miejsca temu nowemu, najwyższemu cierpieniu.

Rozdział dwudziesty:

MADZIA, JERROLD I ANNA

1.

Ubrała się do kolacji jakgdyby nic się nie stało, lub raczej wszystko miało się stać, ona zaś chce przyjąć to dostojnie, nie okazując swej porażki. Nie wiedziała jeszcze, co zrobi; nie przedstawiało jej się wyraźnie, co wogóle jest do zrobienia. Może nie będzie zmuszona nic uczynić; a znów chwilami przeczuwała mgliście — pół-olśniona, pół-wylękła — że wypadnie jej uczynić coś, coś twardego i nieodwołalnego, a zarazem pięknego i szczytnego.

Nadole, w hallu, zastała Eliota.

Oświadczył, że przyjechał by się rozmówić z Anną, że zrobił co tylko było w jego mocy, ażeby ją powstrzymać, lecz nie powiodło mu się.

— Nie zdołamy zatrzymać jej. Ma wolę niezłomną.

— Niezłomną, — przyświadczyła. — A jednak sama jest złamana.

— Ja wiem, — rzekł Eliot.

W swej nerwowości czuła, że Eliot został tu przysłany, że Eliot wie. Jest mądry. Dopomoże jej.

— Eliocie... — zaczęła. — Czy zechcesz pomówić ze mną w bibljotece po kolacji? Pragnę cię o coś zapytać.

— Jeżeli o Annę chodzi, niewiele będę mógł powiedzieć.

— Chodzi o Jerrolda.

Po wieczerzy przyłączył się do niej w bibljotece.

— Gdzie Jerrold?

— W bawialni z Colinem. Nie przeszkodzi nam.

— Eliocie, z nim się dzieje coś strasznie złego. Nie śpi. Nie je. Gdy stara się co przełknąć, robi mu się niedobrze.

— Tak, wygląda marnie.

— Czy ty się domyślasz, co mu jest?

— Skądże? On mi nic nie mówi.

— Jest tak od chwili, gdy się dowiedział o Aninym wyjeździe.

— Martwi się o nią. Ja również. A i ty niemniej.

— Nie martwi się, lecz zamęcza... Eliocie... jak sądzisz — kocha ją?

Nie odpowiedział. Spojrzał na nią poważnie, badawczo, jakby mierząc jej siły i wytrzymałość.

— Nie bój się mi powiedzieć. Nie jestem tchórzem.

— Nic nie mam do powiedzenia. To nietylko ta sprawa z Anną. Jerrold oddawna czuł się nietęgo.

— Bo to się ciągnie oddawna.

— Dlaczego tak myślisz?

— O, — rzekła Madzia, — dla wszystkiego.

— Więc czemuż go nie zapytasz?

— Ponieważ, jeżeli tak jest wistocie, to czyż on mi powie?

— Nie wiem. Może pragnie ci powiedzieć, tylko nie śmie. Bądź co bądź, jeżeli tak nie jest, to Jerrold cię uspokoi i będziesz szczęśliwa.

— Jakoś mi się nie widzi, żebym miała być szczęśliwą.

— W takim razie, — rzekł, — będziesz mężna.

Pomyślała: Wie. Wiedział już dawno, tylko nie chciał ich zdradzić.

— Masz słuszność, — oświadczyła: — zapytam go.

— Madziu... A jeżeli jest, jak przypuszczasz, co zrobisz?

— Co zrobię? Jedną tylko rzecz m o g ę zrobić.

Zwróciła się do niego, a jej mleczno biała twarzyczka była teraz szara, popielata; skóra obwisła, jakby Madzia postarzała nagle. Delikatna karnacja drgała. Lecz usta i oczy były spokojne. W tej chwili śmiertelnej męki, żadne niskie wzruszenie nie naruszało jej słodyczy, tak, że Eliotowi wydała się całkowicie opanowaną. Wiedziała już, co ma uczynić. Coś twardego i nieodwołalnego.

— Mogę dać mu wolność.

2.

Oto więc kres, który był majaczył jej we mgle, jako coś nietylko twardego i nieodwołalnego, lecz zarazem pięknego i szczytnego. Nie upierać się dłużej przy ułudzie swego szczęścia. Dać za wygraną. I w tym nastroju doznała wrażenia, że jakaś bezkształtna groza wisiała nad nią przez trzy dni i trzy noce, a teraz znikła. Madzia stoi teraz wolna i samotna, w wielkiem świetle i spokoju... Więc gdy Jerrold wszedł do niej, powitała go ze wspaniałą równowagą.

— Jerroldzie...

Lekkie tętnienie jej głosu spłoszyło go, dobywając się z tej ciszy.

Stali naprzeciwko siebie, jakgdyby w zawieszeniu, jakgdyby to co ma stać się zaraz, będzie nagłe i krótkotrwałe.

— Kochasz Annę?

Poprzez ciszę jej, słowa te upadły dźwięcznie, wibrująco. Odwrócił wzrok. W głosie Madzi zabrzmiał ostrzejszy nacisk:

— M u s z ę wiedzieć. K o c h a s z ją?

— Tak.

— I dlatego wyjeżdża?

— Tak, dlatego wyjeżdża. Eliot mówił co?

— Nie. Kazał mi tylko zapytać ciebie. Twierdził, że wyznasz mi prawdę.

— Wyznałem prawdę. Ciężko mi, Madziu.

— Wiem, że ci ciężko. Mnie także.

— Ale, widzisz, to się nie zaczęło po mojem małżeństwie z tobą. Kochałem ją całe życie.

— Czemu więc nie ożeniłeś się z nią?

— Dlatego, po pierwsze, że sam nie wiedziałem o swej miłości. Później zaś sądziłem, że kocha Colina.

— I nigdyś jej nie zapytał?

— Nie. Myślałem... myślałem, że są kochankami.

— Myślałeś tak o niej?

— Hm, tak. Sądziłem, że to właśnie do niej podobne: oddać wszystko. Wiedziałem, że kiedy pokocha, nie cofnie się przed niczem. Dla siebie samej nie uczyniłaby tego.

— A było to — — kiedy?

— Kiedym wrócił do Anglji na urlop, przed trzema laty.

— Wtedy, kiedyś się że mną ożenił. Czemu ożeniłeś się ze mną, skoro mnie nie kochałeś?

— Byłbym cię kochał, gdyby nie miłość do Anny.

— Lecz ponieważ ta miłość była...?

— Mniemałem, Madziu, że się zżyjemy. Pragnąłem twego szczęścia. Nadewszystko pragnąłem twego szczęścia. Byłem pewien, że zostanę zabity i wszystko się skończy.
— Że nie będziesz zmuszony żyć ze mną?
— Żyłbym z tobą w doskonałej harmonji, gdyby nie było na świecie Anny. Kochałem cię dostatecznie, by ci życzyć jak najlepiej. Pragnąłem, żebyś miała dziecko. Toby ci dało zadowolenie.
— Biedny Jerroldzie...
— Wszystko byłoby dobrze, gdybym nie zobaczył znów Anny.
— Kiedyś ją znów zobaczył?
— Zeszłej wiosny.
— Dopiero?
— Tak, dopiero.
— Pod moją nieobecność.
Przypomniała sobie. Przypomniała sobie swój pierwszy przyjazd do Wyck i jaki Jerrold był wówczas szczęśliwy, jak wspaniale zdrowy.
— Ależ, — zauważyła, — wówczas było ci dobrze?
Wydał długie, ciężkie, rozdzierające westchnienie, które przejęło ją bólem.
— Tak. Wówczas byliśmy szczęśliwi.
I w nagłym błysku oślepiającej jasności przypomniała sobie własny przyjazd, następną noc i przyzwolenie Jerrolda na ich separację od łoża.
— A więc, jeżeli byłeś szczęśliwy...?
— Czy chcesz wiedzieć, jak daleko to zaszło?
— Wszystko chcę wiedzieć. Żądam prawdy. Uważam, żeś mi winien prawdę.
— Zaszło to najdalej, jak tylko zajść mogło.
— Czy to znaczy — —?
Milczał, sama więc poddała mu słowa:
— Byłeś jej kochankiem?
— Tak.
Jej twarz przeobraziła mu się w oczach, jak niedawno w rozmowie z Eliotem; stała się szara jak popiół, drgająca, zestarzała raptownie.
Oczy zaszły mu łzami skruchy i żałości.
Dostrzegła te łzy i zabolało ją serce o niego.
— To nie trwało długo, — jęknął.
— Jak długo?
— Od marca do... września.
— Pamiętam.
— Madziu — — nie mogę cię prosić o przebaczenie. Lecz musisz przebaczyć Annie. Nie było w tem jej winy. Przymusiłem ją. I trapiła się tem niewysłownie, ze względu na ciebie.
— Ach... więc to dlatego...
— Nie przebaczysz jej?
— Przebaczam wam obojgu. Nie wiem, jakbym postąpiła, gdybyście byli szczęśliwi. Ale teraz nic nie potrafię widzieć, prócz waszej niedoli.
— Zaprzestaliśmy przez wzgląd na ciebie. Tak chciała Anna. Nie mogła tego znieść po poznaniu ciebie i przekonaniu się, jaki z ciebie anioł. To twoja słodycz i dobroć nas pokonała.
— Ależ choćbym była najprzykrzejszą w świecie osobą, tamto byłoby równie zdrożne.
— Nie, bo wówczas nie oszukiwalibyśmy ciebie. Powiedziałbym ci otwarcie i rozstał się z tobą.
— Czemużeś tego nie zrobił, Jerroldzie? Czemużeś nie powiedział odrazu?
— Baliśmy się. Nie chcieliśmy cię ranić.
— Czyż to miało znaczenie!
— Owszem. Mieliśmy ci powiedzieć, lecz zachorowałaś i to udaremniło nasz zamiar. Wiedząc o twem biednem chorem serduszku, myśleliśmy, że cię to zabije.
— O, mój drogi, obawialiście się, że wam w ten sposób przyczynię przykrości?
— Nie do zniesienia był nam ten fałsz. Dlatego wyrzekliśmy się siebie. I tamto się nie powtórzyło. Teraz Anna wyjeżdża, by się nie powtórzyło nigdy... Madziu! czy ty mi wierzysz?
— Tak, wierzę ci. Wierzę, żeście postąpili w najlepszej myśli.
— Tak jest. Ale moja to wina, że Anna jedzie. Straciłem głowę i ona się nastraszyła.
— Gdybyście tylko powiedzieli mi... Nie byłabym dla ciebie twarda, Jerry, chyba wiedziałeś to?
— Tak, wiedziałem.
— I wolałeś przeżywać całą tę katuszę, raczej niż mię dotknąć?
— Tak.
— Nic mi więc nie pozostaje, tylko dać ci wolność.
— Uczyniłabyś to, Madziu?
— Rzecz prosta. Wyszłam za ciebie dla twego szczęścia. Okazuje się jednak, że w inny sposób muszę cię uszczęśliwić, oto wszystko. Wszelakoż nie myśl, żeś mi obojętny. Tak bardzo cię kocham, że nie obchodzi mię nic poza twem szczęściem.
— Madziu, nie jestem godzien żyć z tobą na jednym świecie.
— Nie mów tak. Jesteś godzien żyć w jednym świecie z Anną. Zapewne, mogłabym postawić cię w szpetne i haniebne położenie. Ale chcę, żeby w tem było tylko piękno. Chcę oddać cię Annie pięknego, ażebyście nigdy nie pożałowali, nigdy nie poczuli wstydu.
— Czuliśmy wstyd, ilekroć myśleliśmy o tobie.
— Nie myślcie o mnie, myślcie jedno o drugiem.
— Jesteś święta.
— Nie, tylko miłuję was oboje. Lecz choćbym was nie kochała, postąpiłabym tak dla siebie. Znienawidziłabym się, postępując inaczej. Nie wyobrażam sobie nic bardziej wstrętnego i niecnego, niż przemocą trzymać człowieka, który kocha inną osobę. Zdawałoby mi się, iż żyję w grzechu.
— Madziu... będziesz okrutnie nieszczęśliwa?
— Tak, Jerroldzie. Ale mniej, niż gdybym zatrzymała ciebie.
— Wyjedziemy dokądś, żebyś mogła nas nie widywać.
— Nie, to ja wyjadę.
— Ależ ja chcę, żebyś władała dworem i — i wszystkiem. Colin zastąpi mnie w gospodarstwie.
— Myślisz, że wytrzymałabym tu po twoim wyjeździe? Nie, Jerry. Daruj, lecz nie zdobędę się na to dla ciebie nawet. W ten sposób mi się nie odwzajemnisz.
— W głowie mi nie postało odwzajemniać się. Poprostu jestem ci dłużen wszystko, na wieczność, a zrobić nic nie mogę. Przypomniało mi się, że lubisz ten ogród.
— Nie potrafiłabym go znieść. Znienawidziłabym ogród, znienawidziła cały majątek.
— Ja to sprawiłem?
— Tak — ty to sprawiłeś. I niema na to rady.
— Ale cóż ty poczniesz, Madziu?
— Wrócę do rodziny. Dziwnym trafem oni mnie lubią.
Był to jedyny jej wyrzut.
— A ja nie?
— Och, owszem. Zrobiłam jedyną rzecz, za którą mogłeś mię polubić, Może też poto ją zrobiłam.
Ujął podaną sobie rączkę, skłonił nad nią głowę i ucałował.

3.

Po odejściu Jerrolda, rozmówiła się obszernie z Eliotem.
Była wciąż spokojna i opanowana, natomiast Jerroldem targała niepewność. Obawiał się, że wzruszenie wywołane jego spowiedzią sprowadzi atak. Tej nocy Eliot spał w pokoju ojca, aby w razie czego być blisko.
Lecz ataku nie było.

Późnem popołudniem Jerrold udał się na Barrow Farm do Anny. Wrócił z poleceniem od niej. Anna pragnie zobaczyć się z Madzią, jeśli Madzia pozwoli.

— Sądzi jednak, że nie pozwolisz, — dodał.

— Poco to?

— Jest rozpaczliwie nieszczęśliwa.

Madzia odwróciła się, jakby chcąc odejść, po chwili jednak przystanęła.

— Chcesz tego?

— Jeśli ci to nie będzie zbyt nienawistne...

— Będzie mi to nienawistne. Ale zgadzam się. Sprowadź ją.

Ponad wszystko przerażała ją myśl o zobaczeniu Anny. W oświetleniu tych nowych faktów Anna stała się nieswojską i straszną. Czuła, że Anna będzie jakaś inna. Dostrzeże w niej coś, czego nigdy dotąd nie dostrzegła i co będzie nie do zniesienia. Ujrzy na twarzy Anny, że Jerrold jest jej kochankiem.

Jednakże, skoro nigdy nic nie dostrzegła, skoro w twarzy Anny nie widziała nic oprócz piękna, czyż to nie dowód, że jej miłość do Jerrolda była wzniosła? Zanim ta miłość dotknęła jej ciała, żyła długo w jej duszy. Albo uszlachetniła duszę Anny, albo dusza Anny uszlachetniła ją; i Madzia wiedziała, że jeśli i ona sama ma pozostać piękną, nie powinna naruszyć piękna ich uczucia, jak nie naruszyła piękna ich przyjaźni. Miłość ich jest czysta i twarda i niezłomna jak kryształ. Ona, Madzia, była jedyną na niej skazą, psującą jej doskonałość. Teraz, gdy darowała Jerroldowi wolność, nic już nie zmąci jej doskonałości.

Anna stanęła w progu bibljoteki, patrząc na nią i milcząc. Jest takaż jak wczoraj, jak onegdaj, jak zawsze. Ubrana w strój folwarczny, będący rubaszną oprawą delikatnej jej urody. Taka sama, tylko bardziej jeszcze przybita, złamana, piękniejsza jeszcze w swej porażce.

— Anno...

Madzia podniosła się i czekała, podczas gdy Anna zamknęła drzwi i stała wsparta o nie plecyma.

— Madziu, nie wiem, poco przyszłam. Były sprawy, o których chciałam ci powiedzieć, ale nie mogę.

— Chcesz mi powiedzieć, że ci ciężko zabierać mi Jerrolda.

— Niewymownie ciężko.

Zbliżyła się z wysmukłym, zakłopotanym wdziękiem. Oczy miała utkwione w Madzi, szeroko otwarte, oczekujące ciosu. Lecz nie truchlała ani wzdragała się.

Głos Madzi był miły po dawnemu.

— Nie odbierasz mi go. Nie można mi odebrać, czego nigdy nie miałam.

— Wyrzekłam go się, Madziu. Nie mogłam tego znieść.

— I ja go się wyrzekam, bo i ja tak żyć nie mogę. Wszakże, — dodała, — dla ciebie było to trudniejsze. Tyś go miała. Ja oddałam to, co mojem nie było. Nie zamartwiaj się tem zbytecznie.

— Zawsze będę się czuć nieszczęśliwą na myśl o tobie. Byłaś mi takim aniołem. Czemuż nie mogliśmy ci powiedzieć!

— Tak, czemuście mi nie powiedzieli... W tem pobłądziłaś, Anno.

— Nie mogłam. Byłaś taka chora. Sądziłam, że cię to zabije.

— To i cóż? Nie trzeba było myśleć o mnie; trzeba było myśleć o Jerroldzie.

— Myślałam o nim. Nie chciałam przyprawić go o katuszę wyrzutów sumienia. I tak było dość ciężko.

— Rozumiem, Anno.

— Oto właśnie, czemu dziś przyszłam. Chciałam się przekonać, czy cierpisz na serce.

— Nie niepokój się, to cierpienie już nie wróci. Wczoraj wieczorem Eliot mi wyłuszczył.

— Co?

— Jak się to wszystko stało. Chorowałam, ponieważ nie ważyłam się spojrzeć prawdzie w oczy. Tej prawdzie, że Jerrold mnie nie kocha. Podobno umysł mój wiedział o tem, a ja nie. Kiedyś wiedziałam i część mej duszy cierpiała tą świadomością, podczas gdy druga część głupio żyła w złudzeniu, że mię kocha. A teraz przemocą wywleczono mię ku rzeczywistości. I stawiłam jej czoło. To jest rzeczywistość. i cokolwiek będę znosiła, choroba już się nie powtórzy. Nie zdawałam sobie sprawy, ale poniekąd było to równie fałszywe jak rozmyślny wybieg. A prawda uzdrowiła mię.

— Eliot mówił mi, że to możliwe, lecz nie chciałam mu wierzyć.

— Możesz mu wierzyć teraz. Powiada, że ty i Jerrold jesteście zdrowi na duszy, gdyż oboje trzeźwo patrzyliście na siebie samych i jedno na drugie. Trzymaliście się rzeczywistości.

— Eliot tak mówi?

— Tak. Twierdzi, że sposób, w jaki się reaguje na rzeczywistość, to kamień probierczy każdego człowieka; i że Jerrold musiał się tego nauczyć dopiero, ty zaś wiedziałaś to oddawna. Byłaś tak prawa, że najgorszą twą karę stanowiła niemożność wyznania mi prawdy. Tak też mam o tobie myśleć.

— Jak ty wogóle możesz myśleć o mnie?

— Jak ja wogóle mogę żyć? A jednak będę żyła.

Głos Madzi płynął, słowo po słowie, niby przejrzyste, okrągłe łzy, wyciśnięte i ukształtowane przez boleść.

Głos Anny wydobywał się trudny i drgający z jej posępnej tajonej udręki, niby głos z za drzwi pozamykanych.

— Jerrold mówi, żeś mi przebaczyła. Czy tak?

— Lżejby ci było bez mego przebaczenia. Ale nie mogę nie wybaczyć, widząc tyle niedoli. Nie wybaczyłabym, gdybyście mi nie wyznali prawdy, gdybym sama ją odkryła, kiedyście byli szczęśliwi. Wówczas znienawidziłabym cię.

— A teraz nie?

— Nie. Nie pragnę widywać ciebie, ani Jerrolda, przynajmniej długi czas. Ale to dlatego, że was kocham.

— I mnie?

— Ciebie także, Aniu.

— Jak możesz mię kochać?

— Bo jestem do ciebie podobna, Anno: jestem wierna.

— Nie byłam ci wierna, Madziu.

— Ale Jerroldowi.

Anna stała cicho, w milczeniu, chłonąc bezgłośnie mękę Madzinej dobroci, Madzinej miłości.

Położyła temu kres Madzia:

— Czeka na ciebie, — rzekła, — by cię odprowadzić do domu.

Jerrold stał koło tarasu, w płynącem z okien świetle lamp. Z wewnątrz dochodziły dźwięki gromkiej, burzliwej muzyki Colina. Jerrold czekał.

Anna wyminęła go bez słowa; poszedł za nią przez ogród.

— Anno... — powiedział.

W czarnym cieniu cisowego żywopłotu obróciła się ku niemu i ręce się ich spotkały.

— Nie bój się, — rzekł. — W przyszłym tygodniu zabiorę cię stąd, aż wszystko się załatwi.

— Dokąd?

— O, gdzieś daleko, gdzie będziesz szczęśliwa.

Gdzieś daleko, poza tem cierpieniem, poza tym dniem i tą nocą oczekiwało ich szczęście.

— A Madzia? — spytała.

— Madzia chce, żebyś była szczęśliwa.

Trzymał ją za rękę, jak w dzieciństwie, gdy się czego bała. I z dłonią w dłoni, jak dzieci, szli w zamroczu pól — razem.

K O N I E C

WŚRÓD KSIĄŻEK I WYDAWNICTW

ALBUM „SEMPER FIDELIS" — obrona Lwowa we współczesnych obrazach. — Staraniem Towarzystwa „Straż Mogił Polskich Bohaterów" we Lwowie wyszło przepiękne dzieło pod powyższym tytułem. Na 240 stronicach wytwornego kartonu znajduje się około 700 zdjęć, wykonanych w artystycznej rotograwiurze, ilustrujących walki o Lwów i wschodnią Małopolskę Album oprawny w płótno, ze złotym napisem i złotym herbem miasta Lwowa. Tekst i podpisy zredagowane w trzech językach — polskim, francuskim i angielskim. Treść albumu poprzedza podniosła przedmowa prof. Uniwersytetu Lwowskiego dra Stanisława Łempickiego, i odezwa Kornela Makuszyńskiego. Potem następują zdjęcia fotograficzne, ugrupowane w następujące rozdziały: 1) Wstęp — podobizny głównych wodzów i działaczy przy obronie Lwowa, 2) I. Odcinek bojowy, 3) II. Odcinek, 4) III. Odcinek, 5) IV. Odcinek, 6) V. Odcinek, 7) VI. Odcinek, 8) „Wilki", 9) Artylerja, 10) Samochód, 11) Pociąg pancerny, 12) Lotnictwo, 13) Szpitale, 14) Redakcja, 15) Wojsko, 16) Poznańczycy, 17) Kuchnie, akcja prowadzona przez prez. Hoovera, 18) Zniszczenia wojenne, 19) Misje, 20) Sztaby, 21) Miejska Straż Obywatelska, 22) Ochotnicza Legja Kobiet, 23) Virtuti Militari, 24) Cmentarz Obrońców Lwowa. — Cały dochód z rozsprzedaży tego monumentalnego dzieła przeznaczony jest na budowę „Pomnika Chwały" na cmentarzu Obrońców Lwowa. W sprawie zakupna albumu należy zwracać się do P. Wandy Mazanowskiej, wiceprezeski „Straży Mogił Polskich Bohaterów", Lwów, ul. Długosza 18, I. p. Tel. 35-27. Cena zł 50·— ew. na dogodne spłaty.

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI: Klejnoty, powieść. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa (1930). Str. 427.

Ostatnia powieść autora „Szczęścia Frania", a można o niej powiedzieć — pierwsza. Bo przy wszystkich dawnych, znanych znamionach właściwych twórczej organizacji Perzyńskiego, w jednem wydaje się zasadniczo nowa — w postawie wobec życia. Perzyński dawny, Perzyński komedyj, powieści i codziennych — od lat kilku — feljetonów w prasie warszawskiej, to człowiek fenomenalnie bliski życiu przez zdolność obserwacji i zdolność syntezy jej wyników, a jednocześnie człowiek niepomiernie od życia daleki sceptyczną niewiarą, rezygnacyjną zgodą na to, co jest i co być musi. Perzyński ironista uśmiechniętej małości i niedoskonałości przeciętnego życia, czuły i ścisły obserwator i odtwórca jego przemian, w „Klejnotach" zdobywa postawę nową — niemal reformatora życia, głosiciela jego nowych form. Jak dawniej daje i tu przekrój społeczno-obyczajowy. W ogromnem bogactwie rysów, postaci, sytuacyj odtwarza atmosferę dzisiejszej Warszawy. Skupia uwagę na życiu t. zw. towarzystwa — z bezmiarem jego odwiecznych snobizmów, płycizny myślowej, degeneracji psychicznej, martwej konwencjonalności i przedewszystkiem absolutnej nieproduktywności społecznej. W tło tego *milieu* silnie i jaskrawo wydobyte rzuca Perzyński postać młodej dziewczyny „hrabianki" Kasi Oleckiej, która w następstwie głębszego i bardziej nowoczesnego stosunku do spraw życia — zdecydowanie i we wszystkiem przeciwstawia się typowi życia swojej matki i jej sfery.

Na niej (pierwotny tytuł brzmiał nawet: „Sprawa Kasi") — wbrew metodom dotychczasowym — autor skupia refleksy jasne i czyni ją wcieleniem wiary osobistej Kasia we wszystkiem odmienna od klasy od której uciekła, aby pracować zarobkowo — to jej przed innem przeciwstawia, że jest społecznie twórcza, że ta twórczość jest dla niej niezbędna, jest „jedyną namiętnością", daje jej poczucie szczęścia i wytwarza głęboką, rozumną, nowoczesną moralność człowieka wolnego. Na myśl przychodzi Sorelowska idea moralnego znaczenia pracy. W tym też sensie: jako człowiek wolny i twórczy kształtuje ona swój stosunek z mężczyzną, zastrzegając sobie prawo samodzielnej pracy i niezależność ekonomiczną: „Nauczyłam się być człowiekiem i nie pójdę na utrzymanie do własnego męża." „Właśnie ja nie chcę uważać miłości za towar, który ma jakąkolwiek cenę handlową".

Odwaga postawienia problemu pracy zawodowej kobiet, ich niezawisłości gospodarczej i jakby otwarcie perspektywy na jego znaczenie dla kształtowania się typu kobiety nowej — stanowi pierwszorzędną wartość społeczną książki Perzyńskiego. Wartość przebojową i — wychowawczą, jeśli mężczyźnie każe powiedzieć słowa: „Ja chcę uszanować indywidualność kobiety, którą kocham".

O wartościach czytelniczych, o lekkości, urodzie stylu, o umiejętności charakterystyki osób i środowisk, o zdolności interesującego konstruowania fabuły — zapewniać nie potrzeba.

Żal zbiera pomyśleć, że to książka Perzyńskiego już ostatnia. Żal tem głębszy, że to, tego rodzaju, jego książka — pierwsza.

TYM. TERLECKI

FELDMAN WILHELM: Współczesna literatura polska. Wydanie ósme. Okresem 1919—30 uzupełnił Stefan Kołaczkowski. Kraków 1930. Nakł. Krak. Spółki Wyd. Str. 714.

Nowa edycja „Literatury" Feldmana — nie ze wszystkiem odpowiadającej poglądom współczesnym na literaturę poromantyczną dowodzi potrzeby takiego dzieła i braku nowego, któreby tamto przebrzmiałe w stopniu znacznym, zastąpiło. Dopełnienie Lama dodane do VII-go wydania w obecnem zastąpiło syntetyczne ujęcie Kołaczkowskiego. Nieporównanie lepsze, objektywniejsze, głębsze, ale oschłe i w sądach bezwzględne. Pogląd Kołaczkowskiego na współczesną twórczość literacką jest pesymistyczny. Widzi w niej „rozkład" i krańcowe rozbieżności wynikające z „szukania dróg" nowych. Nie dostrzega wielkich talentów i wielkich dzieł. — Niezmiernie cenne uzupełnienia i informacje bibljograficzne.

JAN HULEWICZ: Źródła ideologji społeczno-politycznej Stefana Żeromskiego. Lwów 1930. Odb. z „Pamiętnika Literackiego". Str. 26.

Jasnym, przejrzystym stylem napisana praca młodego uczonego, wykazująca związki poglądów Żeromskiego z ideologją radykalną W. Emigracji, z socjalizmem i syndykalizmem. Cenne wzbogacenie literatury o Żeromskim.

„Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie" w numerze grudniowym podają artykuły ciekawe i aktualne. J. E. Płomieński w ciętym artykule p. t.: „Demagogja literacka" omawia głośną polemikę na temat Instytutu popierania polskiej twórczości literackiej. — C. Jellenta pisze o turnieju myślicielskim w Krakowie. — Dr. Z. Lissa: O słuchaniu „nowej" muzyki. M. Opałek: Oniemiały szpinet (wiersz). — Krytyczną ocenę premjer teatralnych zamieszcza J. Jedlicz i Wł. Gołębiowski. — Pod umiejętną i wysoce kulturalną redakcją Władysława Gołębiowskiego rozwija się czasopismo coraz świetniej, a każdy jego numer oczekiwany jest z rosnącem zaciekawieniem.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA:

WALDEMAR BONSELS: Marek w lesie. Powieść, z ilustracjami K. Mackiewicza. — Wiele jest książek, opowiadających o tajemnicach przyrody, ale ta wyjątkowo pięknie oddaje sam jej urok i wrażenia chłopca miejskiego, stykającego się po raz pierwszy w życiu z krasą leśną. Na podstawie tej książki bystrego obserwatora śmiało można powiedzieć, że bór kryje cudniejsze niespodzianki i sceny, niżby się nawet dorosły i bywalec leśny mógł domyśleć. Dla czytelników do lat 14.

STANISŁAW OCHOCKI: Tajemnicza dziewczynka. Powieść. z ilustracjami K. Mackiewicza. — Dwoje dzieci — chłopiec i dziewczynka, oboje w wieku szkolnym — znalazło się po tułaczce na obczyźnie w stolicy Polski. Zrazu są obce sobie, nie znają się. Lecz stopniowo zadzierzga się między niemi nić znajomości i sympatji. Tylko samo pochodzenie dziewczynki osłonięte jest długi czas tajemnicą. Dlaczego? O tem dowiedzą się czytelnicy w wieku do lat 14, śledząc równocześnie z zajęciem perypetje szkolne Włodzia i Tani.

E. ATKINSON: Bobik od Franciszkanów. Powieść z ilustracjami K. Mackiewicza. — Są tu przedstawione niezwykłe dzieje psa wiernego panu nawet po jego śmierci. Bobik, niepozorny z wyglądu, jest przytem dzielnym tępicielem szczurów, robiąc niezgorszy porządek w ich siedzibach, to też wdzięczne za taką „sanację" królewskie miasto Edynburg w Szkocji wystawiło mu pomnik. Powieść, doskonale malująca zmyślność pieska i jego różne przygody, najmilej będzie przyjęta przez młodszych czytelników do lat 14.

Ks. Dr. STAN. BROSS. Myśli św. Augustyna. — Tysiąc pięćset lat upływa w tym roku od śmierci św. Augustyna, a postać najgenjalniejszego po św. Pawle nauczyciela Kościoła jak żywa staje nad odchłanią każdej duszy szarpanej wątpliwościami. Mała książeczka skupiająca „Myśli" św. Augustyna, odtwarza różnorodne znamiona jego indywidualności. Ułożona metodycznie, pozwala czytelnikom zrozumieć, czem był ten Święty jako człowiek, teolog, filozof, a w szczególności jak gorącą miłością pałało jego serce do Boga. Wartość „Myśli" podnosi to, że są wybrane przeważnie z niespolszczonych jego utworów.

WYDAWNICTWA GWIAZDKOWE M. ARCTA. WARSZAWA:

M. BUJNO-ARCTOWA: Perły księżniczki Maji. — Legenda o perłach rodzinnych przynoszących nieszczęście jest treścią fantastycznego opowiadania o przygodach i przeżyciach małej księżniczki. Piękne ilustracje A. Gawińskiego są prawdziwą ozdobą tej książki.

W. GOMULICKI: Życie dla ojczyzny, jest jedną z najlepszych powieści historycznych dla młodzieży. Maluje barwnie i zajmująco ostatnie lata panowania Stanisława Augusta, konstytucję trzeciego maja, wojny roku 1792 a zwłaszcza powstanie Kościuszkowskie. Głównymi bohaterami są dwaj młodzi kasztelanice, a prócz nich różne głośne postacie z owego okresu. Wydanie IV tej książki świadczy najlepiej o poczytności. Ilustracje St. Bagieńskiego.

J. POPŁAWSKI: Podania o starożytnych Półbogach i Bohaterach Greków i Rzymian. Wydanie III z 45 ilustr. i 12 tabl. kolor. — Mitologja starożytna jest zawsze tematem zajmującym i pociągającym fantazję młodzieży. Autor wybrał z olbrzymiego materjału podań i mitów dzieje najbardziej znanych bohaterów i podał je w prostych, jasnych słowach, a przytem w opracowaniu tak szczegółowem, że książka może być pomocą w nauce historji starożytnej.

JAK UBIERAĆ CHOINKĘ?

2) Wśród drzewek wystawionych na sprzedaż przez przedświątecznych przekupniów, możemy mieć do wyboru jodełki, świerki i sosenki. Z tych najładniejsza jest jodełka. Igły jodły mają kolor żywszy niż świerkowe, są też one od świerkowych nieco pokaźniejsze a mianowicie szersze. O jodełki jest jednak stosunkowo trudno, gdyż racjonalna gospodarka leśna nie pozwala ich wycinać. W niektórych województwach jest wycinanie jodełek zabronione administracyjnie. W braku jodełki, doskonałem drzewkiem jest ładny okaz świerka. Sosna stoi na trzeciem i ostatniem miejscu a to zarówno z powodu iż trudno jest znaleźć sosenkę naprawdę foremną i chociażby w przybliżeniu tak wysmukłą jak jodła lub świerk, jak i dla tego, że długie szpilki sosny bardzo utrudniają pracę jej ubierania.

Wybierając drzewko należy zważać aby było foremne, aby gałęzie jego były rozmieszczone równomiernie gęsto, aby nie miało połamanych gałęzi, lub co gorsza, ułamanego wierzchołka. Przekupnie mający drzewka o połamanych gałęziach, często ratują się od strat w ten sposób, że w miejsce gałęzi złamanej lub niedorodnej wstawiają gałąź z innego drzewka. Robią to w ten sposób, że w otwór wywiercony świdrem w pniu drzewka wbijają odpowiednio zastrugany trzon gałęzi. Tak wprawiona gałąź więdnie szybko i traci igliwie wcześniej niż reszta drzewka.

Bezpiecznie jest kupić drzewko nieco wyższe niżli się je chce mieć, gdyż można je zawsze od spodu podciąć na potrzebną miarę, a zato ma się tę pewność, że dolne gałęzie jego będą zaszanowane. Najniższe gałęzie drzewka, stanowiąc osłonę dla innych, same najwięcej cierpią wskutek transportu i powinny być usunięte. Kupując choinkę należy czynić to przy dziennem świetle i zwracać uwagę aby igliwie nie było pożółkłe. Zakupione drzewko należy ostrożnie transportować do domu, aby go nie uszkodzić w drodze. Najlepiej jest w tym celu po podniesieniu wgórę, owiązać drzewko sznurem „w słup"; wtedy nietylko gałęzie są chronione przed uszkodzeniem, ale i transport drzewka staje się bardzo ułatwiony; łatwo je ująć, nieść i t. d.

Drzewko dostawione do domu w dzień mroźny jest zmarznięte. Trzeba pozwolić mu przyjść do siebie i odtajać i nie próbować prostować mu gałęzi za wcześnie.

Najzwyklejszym sposobem ustawiania drzewka, jest usadzenie go na drewnianym krzyżulcu. Sposób ten posiada poważną wadę, gdyż drzewko stojąc w atmosferze ogrzanego mieszkania traci wiele wilgoci przez wyparowanie, a nie mając możności uzupełnienia jej, szybko więdnie. Jeśli chcemy choinkę dłużej zakonserwować i ochronić przed wczesnem osypywaniem się igliwia, powinniśmy wstawić ją w naczynie z wilgotnym piaskiem, z którego mogłaby ciągnąć potrzebną wodę. Najlepiej nadaje się do tego obszerna konewka, wiaderko lub dzban, który po wstawieniu drzewka napełnia się piaskiem, poczem wlewa się tyle wody, ile jej piasek wchłonąć zdoła. Wodę tę należy codziennie w miarę ubywania uzupełniać. Jeśli piasku jest dość, to drzewko stoi w nim całkiem pewnie. Aby się nie chyliło na boki, możemy utwierdzić je w naczyniu przy pomocy drewnianych klinów, albo też, owiązawszy pień powyżej połowy wysokości mocnym sznurkiem, przywiązać do klamki okna lub wbitego w ścianę haka.

Jest to szczegół ważny, gdyż wokoło drzewka pełnego jarzących się świeczek będą się bawiły dzieci, trzeba więc wykluczyć możność przewrócenia drzewka i wywołania pożaru.

Drzewko rzadko kiedy jest zupełnie symetryczne, to też należy krytycznie je obejrzeć i zwrócić najkorzystniejszą stronę w kierunku, z którego będzie przeważnie oglądane. Jeśli w którejkolwiek partji drzewka gałązki są zbyt gęste, uschnięte, złamane i t. p., należy je oczyścić przy pomocy scyzoryka lub nożyc ogrodniczych. Większe gałęzie złamane, o ile ich brak szkodziłby wyglądowi choinki, można naprawić, podłożywszy od spodu sztywny drut lub kawałek drewienka i owiązując w kilku miejscach cienkim drucikiem kwiaciarskim. Można też w miejsce złamanej lub niedorodnej gałęzi wprawić inną, sposobem opisanym powyżej. Dopiero wtedy przystąpić możemy do właściwego ubierania choinki.

Zanim przystąpi się do gromadzenia materjałów i sporządzania ozdób do dekoracji choinki, trzeba sobie zdać sprawę z tego, jak wielką ma być choinka i jaki charakter nadać jej zamierzamy, od tego bowiem zależy ilość i rodzaj materjału zdobniczego. Materjał ten dzielimy na ozdoby indywidualne i ozdoby stosowane masowo; te ostatnie można zkolei podzielić na ozdoby jadalne i niejadalne.

Najważniejszą z ozdób indywidualnych, jest ozdoba szczytowa. Znajduje się ona na choince w jednym tylko egzemplarzu, a kulminując nad całością zasługuje na większą uwagę. Istnieją kupne ozdoby szczytowe zrobione najczęściej z dętego posrebrzonego szkła i mające kształt grotu chorągwianego i t. p. Od ozdoby takiej spadają czasem po choince kaskady lamety. Tym kupnym ozdobom można zarzucić pewną stereotypowość pomysłów, oraz zbytek połysku i ozdobności, który stoi w sprzeczności z zasadami wyłuszczonemi w pierwszej części tego artykułu (ob. „Świat Kobiecy" Nr. 23). Nie o wiele lepsze, bo bez charakteru, są ozdoby szczytowe z papieru, przedstawiające najczęściej anioła, lub z blachy, tworzące rodzaj ozdobnego świecznika. Szkodliwe dla całości choinki są blaszane młynki z dzwonkami, które obracają się pod wpływem prądu powietrza ogrzanego przez świeczki. Młynki te rzadko kiedy zgadzają się z „architekturą" choinki i mącą jego wysmukłą formę. Ozdoba szczytowa powinna być symbolem święta Bożego Narodzenia, na co doskonale nadaje się motyw gwiazdy betleemskiej. Gwiazda taka może być jużto skromniejsza, wycięta z kartonu i pokryta pozłótką, jużto sporządzona jako bryła geometryczna o krawędziach z drutu, o ściankach z przejrzystego papieru w kolorze jasnym, białym, żółtym lub niebieskawym, oświetlona od wnętrza świeczką lub, dla bezpieczeństwa, żarówką niskowoltową, taką jakich się używa w kieszonkowych lampkach elektrycznych. Gwiazda nie powinna posiadać zbyt wiele ramion. Pięcioramienna gwiazda jest najkształtniejsza. Sześcioramienna ma kształt nieco „naiwny", przypominający gwiazdy kolędników, co można wyzyskać jeśli się chce drzewku nadać tego rodzaju charakter. Gwiazdy trzy- i czteroramienne mogą dawać niezłe efekty geometryczne, tak modne obecnie, ale nie nadają się dla drzewka o typie tradycyjnym. Gwiazdy lampionowe mogą być wykonywane nietylko jako „płaskie" t. j. o dwu ściankach równoległych, ale także jako „przestrzenne", przyczem stereometrja daje sporo ciekawych możliwości. O ile do ozdób szczytowych chcemy wyzyskać postać anioła, to dla uniknięcia wrażenia zbytniej naiwności, postać ta powinna być stylizowana. Realistyczne figurki papierowe lub też sporządzone z waty zupełnie się tu nie nadają. Ozdoba szczytowa powinna być albo oświetlona wewnętrznie, albo też służyć za świecznik. Wymaga tego „architektura" choinki oświetlonej.

Przejdźmy do ozdób stosowanych masowo. Program jadalny tworzą tu jabłka, bakalje, orzechy, cukry, czekolada i pierniki. Kilka słów o zastosowaniu niektórych z tych artykułów podałam w poprzednim numerze. Kule szklane srebrzone, można doskonale zastąpić złoconemi lub srebrzonemi orzechami; za to do nieodzownych składników choinki należą świeczki ze swemi lichtarzykami. Dobry lichtarzyk powinien zapewniać pionowe położenie świeczki na drzewku; to żądanie spełniają lichtarzyki zaopatrzone zwisającym wdół ciężarkiem, dzięki któremu uzyskują samoczynnie pionowy kierunek. Takie lichtarzyki istnieją w handlu zarówno w wykonaniu fabrycznem z metalu, jako też sporządzane przez przemysł domowy, z drutu i pozłoconych szyszek.

Sporządzanie ozdób choinkowych własnemi siłami, daje duże pole pomysłowości własnej. Istnieją też broszurki, w których można znaleźć dobre wzory, szkoda tylko, że broszurki te trochę mało poświęcają miejsca sprawie przedmiotów łatwych, nadających się na ozdoby masowe, na korzyść cacek trudnych, o charakterze indywidualnym. Do najważniejszych ozdób wyrobu domowego, których nie można zastąpić żadnym kupnym artykułem, należą papierowe łańcuchy. Klejenie łańcucha z poszczególnych ogniwek jest pracą nie tyle żmudną ile nudną, bo jednostajną, ale efekt choinki tyle zyskuje, tak wskutek podkreślenia kształtu drzewka jak przez wrażenie bogactwa, że trud sporządzenia opłaca się sowicie.

Technika strojenia choinki obejmuje szereg reguł praktycznych, które pracę przybierania drzewka ułatwiają i przyśpieszają, chroniąc od strat czasu i psucia się ozdób. Po ustawieniu choinki, umocowaniu jej i ubezpieczeniu, oraz po oczyszczeniu jej z gałązek zbytecznych lub uszkodzonych, zaczynamy zapełniać przedewszystkiem głębsze jej partje, do czego służą ozdoby ciężkie i duże, jako to: jabłka, duże pierniki etc. Zaczynamy tę pracę od gałęzi górnych i idziemy ku dołowi. Staramy się przytem, aby nie skupiać koło siebie ozdób jednego rodzaju i aby żadna partja choinki nie była upośledzona na korzyść innych. Następnie zakładamy ozdobę szczytową, przyczem czasami musimy gałązkę szczytową nieco przyciąć. Przy zakładaniu ozdoby szczytowej zazwyczaj trzeba choinkę nieco nachylić lub przygiąć, co łatwiej jest uczynić dopóki niema na niej wielu ozdób. Następnie zawieszamy woreczki bibułkowe z bakaljami. Potem idą kule bibułkowe, złocone i barwione skorupki jaj, oraz złocone orzechy. Te ostatnie szczególnie nadają się do zapełniania pustych przestrzeni między gałęziami. W tym celu zawieszamy je na długich niciach lamety od wysoko położonych gałęzi. W trakcie tej pracy powinniśmy regulować położenie gałęzi obciążając je stosownie jeśli chcemy aby się więcej ugięły, lub podwiązując je, jeśli się uginają nadmiernie. Do podwiązywania i podtrzymywania gałęzi używać powinniśmy nici czarnych, jako najmniej widocznych. Na czarnych niciach zawieszamy także ozdoby, dla których złota lameta okaże się za słaba. „Niewidzialna" nić podnosi wrażenie tajemniczości choinki.

Gdy tło choinki jest w ten sposób przygotowane, zaczynamy przystrajać pierwszy plan, czyli końce gałązek. Idą teraz po kolei drobniejsze pierniki, dalszy ciąg złotych orzechów, czekoladki owinięte w stanjol, drobne ozdoby rozmaitego rodzaju etc. Przy każdym rodzaju ozdób zaczynamy od szczytu i idziemy ku dołowi, starając się najpiękniejsze i najudatniejsze sztuki pomieścić na wysokości wzroku i powyżej, zaś im mniej ładne i udatne, tem niżej.

Dok. art. na str. 574)

2) Z HIGJENY I KULTURY CIAŁA

ODMROŻONY NOS, jako najbardziej narażony na wpływy atmosferyczne, należy po zabiegach doraźnych



udzielonych w pierwszej chwili, poddać szczególnie troskliwemu leczeniu. Również usunięcie szpecącego zabarwienia jest najpilniejszą potrzebą. To samo odnosi się do *odmrożonych policzków*.

Nosa nie należy w tym okresie drażnić częstem dotykaniem, kontrolowaniem, myciem mydłem, zwłaszcza alkalicznem, lecz zastąpić je żółtkiem z jaja, a najlepiej benzyną, która doskonale oczyszcza skórę. Przed wyjściem na powietrze zalecone są 1—2 minutowe okłady z benzyny na nos, które zapobiegają wybitnemu czerwienieniu się nosa pod wpływem zimna. Unikać napojów wyskokowych i nadmiernie gorących potraw, które pobudzają skórę do zaczerwienień. Okłady naprzemienne, t. j. gorące i zimne, stosować wieczorem i rano. Czas trwania: 10 minut. Następnie zapendzlować rano płynem i zapudrować, wieczorem nałożyć maść.

Jeżeli okłady naprzemienne nie odpowiadają komuś rano, albo wywołują za silną reakcję, można je stosować tylko wieczorem, a rano umyć benzyną i zapendzlować.

Płyny do pendzlowania zasychają bardzo szybko, gdyż zawierają kolodjum, a razem z pudrem stanowią dobrą warstwę ochronną przeciw zimnu. W poprzednim artykule podane były dwie recepty na płyny, ponieważ jednak wiem z doświadczenia, że panie lubią duży wybór, więc uzupełniam receptami o innym składzie środków.

Rp. Euresol.
Eucaliptol.
Ol. Terebinth . aa 2,0
Collod. . . . ad 20,0

Płyn ten uśmierza świąd, wzmacnia skórę i zwęża rozszerzone naczynia krwionośne.

Rp. Amyl. 27,0
Sapon. neutr. . . 5,0
Aque destill. . . . 100
Alumin. acet. tartar. 5,0
Albumini ovi unius

Puder musi być kryjący, t. zn. dobrze przesłaniający brzydkie zabarwienie odmrożonej skóry, i pod żadnym warunkiem nie może być biały nawet dla jasnych blondynek, gdyż w połączeniu ze zmienioną karnacją, zwłaszcza zaś na zimnie, daje efekty sinawo-fioletowe. Zwykły puder toaletowy nie może wchodzić tu w rachubę, gdyż nie zakryje odpowiednio zmian i nie trzyma się długo na skórze, a przecież są to w przypadkach odmrożeń dwa niezbędne warunki pudru.

Rp. Zinc. oxydat.
Bol. rubr. . . . aa 2,0
Magnes. carbon.
Bol. alb. . . . aa 3,0
Amyl. oryz. . . . 10,0
M. f. pulvis

Z uszami wiemy już jak postąpić w pierwszej chwili; dalsze leczenie polega również na stosowaniu maści i płynu do pendzlowania, oraz okładów naprzemiennych. Na wolnem powietrzu muszą być dokładnie chronione i zasłaniane. U pań jest to najłatwiejszy postulat do spełnienia obecnie, u panów rolę tę muszą spełniać specjalne klapki na uszy.

Przy lżejszych odmrożeniach pierwszego i drugiego stopnia dobrze robi kilkakrotne w ciągu dnia mycie natłuszczonem mydłem salicylowo-ichtjolowem, które działa ściągająco na rozszerzone naczynia krwionośne. Następnie wciera się delikatnie maść również ściągającą — i zapudrowuje. Recepty na maść i puder:

Rp. Acid. tannic.
Bals. peruv. . . aa 1,5
Ax. porci 30,0
M. f. ung.

Rp. Saloli 1,0
Zinci oxyd.
Talci praep. . . aa 20,0
M. f. pulvis

W cięższych przypadkach, przy pojawieniu się wrzodów, trzeba stosować gojące maści, albo pudry. Naprzód oczyszcza się wrzodziki i myje, a potem wciera maść lub zapudrowuje. Do wyboru trzy rodzaje maści:

Rp. Jodoformii
Bals. peruv. . . aa 1,0
Vaselini 30,0
M. f. ung.

Rp. Aristoli 1,0
Vaselini 30,0
M. f. ung.

Rp. Europhen 0,5
Vaselini 30,0
M. f. ung.

Pudry zawierające jodoform, arystol lub eurofen są gotowe do nabycia w aptekach.

Odmrożone ręce, to także ciężki dopust losu. Brzydkie to, bolesne, dokuczliwe, przewrażliwione, co tembardziej daje się we znaki, że przecież muszą być pomocne przy każdej czynności, przy ubieraniu, myciu, czesaniu, jedzeniu. Jednostki nie stykające się zupełnie z pracą fizyczną, muszą mimo to ciągle czemś zatrudniać ręce i eksponować je na różne szkodliwości w okresie leczenia.

Powyżej opisane środki, płyny i maści, stosujemy i do rąk. Zamiast okładów — kąpiele przemienne, ze stopniowaniem gorącej wody, która po zimnej wodzie pozwala rękom znosić coraz to wyższą temperaturę. Działanie tych kąpieli, które mogą trwać około 15 minut, wspomagają dodawane do wody środki ściągające i wzmacniające skórę, jak np. ałun, gorczyca, tanina i inne, w małych, oczywiście, proporcjach. Po kąpieli nasycić ręce maścią i nałożyć obszerne rękawiczki z miękkiej skóry. Wogóle rękawiczki przy leczeniu odmrożeń spełniają ważną i pomocną rolę, nietylko jako futeralik na natłuszczone ręce, ale jako ochrona przy rozmaitych czynnościach codziennych i zabezpieczenie przed zimnem. Bo o ile ręce znoszą dobrze zimną wodę przy kąpielach przemiennych, o tyle nie znoszą jej przy myciu, a stykanie się z zimnem powietrzem pogarsza stan, utrudnia leczenie, a wyzdrowienie opóźnia. Rękawiczki należą zatem do środków leczniczych. Muszą być obszerne, miękkie, często prane. Ciasne i ze skórki glacée — szkodzą. Zamszowa skórka jest higjeniczna i utrzymuje ciepło; podczas mrozów wskazane są nawet — wełniane. Przerażone elegantki uspokajam, że Paryż od przeszłej zimy usankcjonował tyle lat w pogardzie trzymane wełniane rękawiczki.

Lepiej od wcierania maści w skórę działają opatrunki z maści. Na wąskiej opasce rozsmarować maść, owinąć nią poszczególne palce i dłoń, na to dać suchą opaskę i włożyć rękawice.

Przy drugim stopniu odmrożeń, gdy skóra jest popękana i poraniona, stosujemy następującą maść:

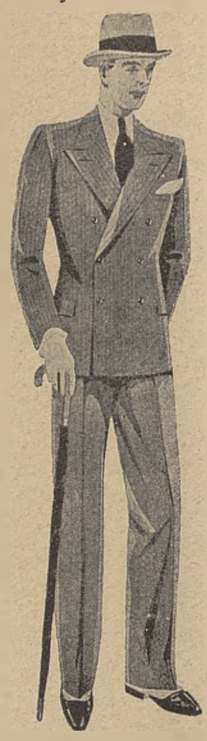
Rp. Arg. nitr. 0,5
Bals. peruv. . . . 5,0
Ung. zinzi . . ad 50,0
M. f. ung.

EFEB

(Dok. nast.)

COŚNIECOŚ DLA PANÓW

TYP UBRAŃ marynarkowych jest czemś tak wygodnem i dostosowanem do wymagań życia codziennego, że wbrew tendencjon mody do zmian, pozostaje zwycięsko na placu.





Klasyczne, spokojne fasony: jednorzędowe z zapięciem na trzy guziki, i dwurzędowe zapięte na dwa, a trzeci górny t. zw. ślepy — oto codzienne modele, których żadne zakusy nie zdołały wyrugować. Wszystko utrzymuje się po dawnemu — wyłogi, długość marynarki, szerokie ramiona, lekkie wcięcie w pasie, normalna szerokość spodni. Oszczędni panowie mogą spać spokojnie; budżet ich pozostaje nienaruszony. Zeszłoroczne ubrania są modne, można je nosić z całą pewnością siebie, o ile — umiano je odpowiednio szanować. Bo ubrania trzeba umieć nosić ostrożnie, tak by nie straciły fasonu i do ostatka robiły staranne wrażenie. Dam radę w tem miejscu: w domu trzeba się przebierać. Bezwzględnie!

Poza temi niewzruszonemi modelami, uznanemi przez cały internacjonalny męski świat, pojawiają się co pewien czas pomysły różnych modyfikacyj, a raczej warjacyj, które przemijają równie szybko jak się ukazały. Bawi się niemi świat, który ma dużo czasu i pieniędzy.

Typ ciemnej marynarki do wszystkiego, a zatem i do wieczornego użytku, zdobywa coraz większą popularność i coraz pewniejsze miejsce. Podany przez nas szczegółowy opis tego fasonu, wraz ze wszystkiemi uzupełnieniami zależnemi od zmiany okoliczności, nie uległ żadnym wahaniom. Tylko do materjału czarnego lub ciemno-granatowego przybył najciemniejszy brunatny. Kamgarny przeznaczone na ten cel przetykane są najdelikatniej białemi jedwabnemi niteczkami, prawie niedostrzegalnemi przy wieczornem świetle. Ale i materjały z ubiegłego roku, t. zn. w nikłe, wąziutkie paseczki, są bardzo w użyciu.



Kwestja kolorów na codzienne marynarki przedstawia się bardzo prosto: popielaty, granatowy i bronzowy są tego roku narówni w modzie. Ponieważ jednak jeden kolor musi być zawsze faworytem sezonu, więc tym razem obrano popielaty, jako przodujący i jako małą odmianę w stosunku do granatowego, panującego od kilku lat. Następnie idzie bronzowy w odmianach najciemniejszych brunatnych, średnio ciemnych, orzechowych i sarnich. Na ostatku granatowy.

Wśród gatunków materjałów utrzymały się dwa: kamgarn i szewiot, przyczem 60% przypada na odmiany kamgarnów, 40% na odmiany szewiotów. — Rozmaitość w tkaniu tych materjałów jest tak wielka, że trudno określić wszystkie rodzaje delikatnych deseni, jakiemi dziś przemysł tekstylny nas obdarza.

Mówiąc o marynarkach trudno nie poruszyć kwestji modnej linji ramion, która często ulega przesadzie. Ramiona mogą być utrzymane w linji poziomej, prosto przebiegającej, bez zapadania się pośrodku, lub obniżania ku końcowi. Linja łukowata sprawia wrażenie siodełkowatych ramion. Przy próbach u krawca trzeba na to specjalnie zwracać uwagę.

Co pewien czas zmieniają się „pomiary" ubrań. W tym roku, przyjąwszy za normalny wzrost 1 m 75 cm, nakazuje moda przy marynarkowych ubraniach następujące cyfry: długość marynarki 75 cm, szerokość spodni w kolanach 57 cm, szerokość obwodu dołem 47 cm, szerokość wyłogów spodni $4^1/_2$ cm.

Smoking, nie mówiąc o ekstrawagancjach, z któremi nikt się poważnie nie liczy, nie uległ zmianom od zeszłego roku. Pewną wygodą i oszczędnością jest możność użycia na smoking — kto go w tym roku sprawia — materjału fresco, który jest tańszy od klasycznego.

Frak, oprócz jednej modyfikacji, pozostał taki sam. Przody są znacznie węższe, a dolny ich brzeg idzie ku połom lekko skośną linją. Przez zwężenie przodów zostaje biała dwurzędowa kamizelka szeroko odsłoniona, co bardzo szykownie rozjaśnia czerń fraka.

Jeśli mowa o białej kamizelce, trudno nie wspomnieć o tem, że w obecnym sezonie wolno ją nosić do smokinga, co dawniej uważane było za wykroczenie. Obecnie biała jednorzędowa kamizelka, i co jeszcze dziwniejsze chapeau claque — dozwolone są przy smokingu. Dzieje się to może dlatego, że smoking, poza balami oczywiście, stał się typowem wieczorowem ubraniem na przyjęcia, wieczory z tańcami, do teatru i t. p. Zaznaczamy: na herbatkach popołudniowych, chociażby z tańcami, chociażby w najświetniejszem i najszykowniejszem towarzystwie, smoking pojawić się nie może, gdyż złączony jest ściśle z porą wieczorną. Panowie, rzadko bywający i nie hołdujący podtrzymywaniu stosunków towarzyskich, często są w kłopocie co włożyć i wybierają, niestety smoking, w miejsce czarnego marynarkowego ubrania.



Koszule wieczorowe mają krawaty z tego samego materjału, z którego jest wykonany przód, zapięty na dwie spinki.

Kołnierzyki najnowszego fasonu mają załamane brzegi, rozchodzące się szeroko i w prostej linji poziomej wbok, albo brzegi wywinięte bez załamania, t. j. lekko wygięte. Surowa prostota cechuje te szczegóły uzupełniające wieczorowy strój mężczyzny. Spinki tak skromne, by nie zwracały uwagi, a zegarek na czarnej krótkiej taśmie. GENTLEMAN

PLOTECZKI O MODZIE



Okres prywatnych przyjęć z tańcami i balów — rozpocznie się z końcem grudnia, ale zapewne już teraz problem toalet wieczorowych niepokoi myśli tych wszystkich pań, dla których słowo *karnawał* posiada jakiś magiczny urok. W każdym razie coś, poza czem kryją się rzeczy niespodziane, radosne, chwile uśmiechów beztroskich, zdobyczy, triumfów urody i sztuki ubierania się, t. j. nadawania toaletom swoistej marki. Bo wiadomo przecież, że przywileje nadane sukniom balowym posiadają nieobliczalne możliwości, które potrafią każdą kobietę przemienić w czarodziejską zjawę, pod warunkiem... Może piękności? Ależ nie, piękność rysów jest jednym z dalszych warunków, często nawet przeoczanym, niewymaganym. Najważniejszą rzeczą jest właściwie dobrana toaleta: kolor ubierający kobietę, krój harmonizujący z budową ciała, umiejętny dekoltaż, a jako uzupełnienie jakiś drobiazg „po swojemu" dobrany. Po swojemu — żeby toaleta miała w sobie coś z nas, z naszych odrębnych upodobań, z naszej fantazji, była wyłącznie dla nas, a nie jak kupny model dla wszystkich.



W taką suknię włożyć trzeba trochę własnych starań i współpracy myśli z krawczynią. Wybranie martwego modelu, kupno materjału i oddanie tego w ręce krawczyni kończy się zwykle jakimś banałem. Te krawczynie, na które możemy sobie w sferze średniej pozwolić, są w okresie karnawałowym, i wogóle sezonowym, stale przeciążone pracą. Żadna z nich o niczem innem nie myśli, jak o tem, by suknia dobrze leżała. Reszta jej nie obchodzi. Model wiernie skopjowany, suknia niezepsuta i na czas oddana — oto wszystko, co taka przepracowana istota może nam dać ze siebie. Rzadko zdarzają się wśród nich artystki, którym o inne rzeczy idzie, o drobne, tajemnicze dotknięcia fałdów, o własną śmiałość w tworzeniu, o szczegóły napozór błahe, które jednak potrafią tchnąć życie w martwy materjał i nadać mu formę zniewalającą oczy.

Krawczyni musimy dopomóc własnym zapałem, inwencją, zainteresowaniem się najmniejszym drobiazgiem. Słyszałam często ich skargi na klientki, które im mówią: niech pani robi jak chce, wiem, że pani da sobie radę. Owszem — da sobie radę zapewne, ale czy można wymagać od jednej kobiety indywidualnych pomysłów dla każdej z klientek?

Wyzbądźmy się lenistwa myśli i spuszczania się na drugich, a toalety nasze nabędą niebywałego wdzięku.

A nadewszystko nie chciejmy być najmodniej, najpiękniej ubrane. Nie przeładowujmy sukien ozdobami i wymyślnemi szczegółami. Najcudniejszą ozdobą jest prostota; pamiętajmy o tem.

Chciejmy *być sobą* w każdej sukni, nie pozujmy na kogoś innego, lecz czujmy się w niej tak dobrze, jak w swoim pokoiku w jakiejś miłej, domowej sukience. Wówczas dopiero osiągniemy ten szlachetny umiar, który wyróżnia dobrze ubrane kobiety od żurnalowych modniś. — Kobieta oszczędna i myśląca — a za takie uważam wszystkie Czytelniczki „Świata Kobiecego" — robi przed każdym sezonem budżet, oblicza co jest konieczne i na co może sobie pozwolić. Tembardziej zaś przestrzega tego mądrego zwyczaju przed karnawałem, który nie jest koniecznością lecz uroczą odmianą dni powszednich.

Wybór zatem materjałów zależy od zamierzonej ilości sukien i przeznaczonej na ten cel sumy. Im więcej wieczorów w perspektywie, tem skromniejsze gatunki, których jakość w niczem nie umniejszy uroku sukni, o ile wyżej wymienione warunki będą przestrzegane. Krajowe jedwabie, lekkie krepy, tiule, muśliny dadzą nam niedrogie toalety, a mimo to na poziomie europejskim.

O materjałach stosownych na wieczorowe suknie pisałam już szczegółowo. Są między niemi i bardzo drogie i zupełnie tanie, tak że każda z pań może wybierać między temi, które jej pod każdym względem najlepiej odpowiadają.

Gładkie tkaniny są w znacznej przewadze. Może dlatego, że mniej się opatrują od wzorzystych i robią poważniejsze, szlachetniejsze wrażenie. Widziałam jednak, nieliczne coprawda, również i modele z tkanin kwiecistych, ale były to najdroższe z materjałów, przetykane złotem, srebrem.

Do rozmaitych odmian krep jedwabnych przybyły nowe gatunki, nowe nazwy. Przedewszystkiem *crêpe Amazone*, rodzaj żorżety, dużo cięższej od tej, którą znamy. Lewa jej strona, przypomina wyglądem szwedzką skórkę i pozwalając na użycie obustronne, prowadzi do pięknych efektów w draperjach lub przybraniu.



Crêpe Gitane jest odmianą jedwabnego muślinu lecz znacznie odeń cięższą.

Crêpe Hellé, rodzaj tęgiej tkaniny, która zyskuje coraz większe powodzenie i jest czemś pośredniem pomiędzy cięższą żorżetą a crêpe de Chine.

Uroczą odmianą crêpe satin jest satin Diamant — tkanina czysto jedwabna, ciężka, mieniąca się lekko, połyskliwa jak klejnoty.

Odmianą crêpe maroquain jest Crêpsa — po lewej stronie o połysku crêpe satin.

Następnie krepy Lelia i Moussa — miękkie, połyskujące, nadające się świetnie na draperje, plisy, zacinania, inkrustacje, obowiązkowo zdobiące suknie, które tem są dla nas milsze, że widzimy w nich nietylko zdobienie toalet, lecz jednocześnie najdalej idące możliwości w przeróbkach przydłużaniach, kombinowaniach dwóch materjałów.

Nie sposób wymienić wszystkie nazwy nowych tkanin, które zawsze są odmianami starych, unowocześnionych śmiałemi pomysłami dokonywującemi się ciągle w przemyśle tekstylnym.



Do uzupełnień sukien wieczorowych należą pantofelki, torebka malutka, długie rękawiczki obficie sfałdowane i sięgające poza łokieć, biżuterja i coraz częściej wachlarz: z piór, muślinu, koronki. Pantofelki jedwabne, aksamitne, inkrustowane złotą lub srebrną skórką.

Fryzury puszyste, obficie ondulowane, zdobne w grzebyki i agrafki wysadzane sztrasami. Podajemy cztery wdzięczne modele fryzur. CAILLER-SOBAŃSKA

MODELE MÓD

SUKNIE BALOWE I WIECZOROWE Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH



1170 1171 1172 1173

JAK UBIERAĆ CHOINKĘ

Dok. art. ze str. 570

Pozostaje jeszcze założenie łańcucha i świeczek. Przy upinaniu łańcucha postępujemy odwrotnie niż przy zawieszaniu ozdób; upinamy go zaczynając od dołu. W ten sposób łatwiej jest orjentować się co do ilości łańcucha jaką dysponujemy. Gdy łańcuch upięty, zakładamy świeczki. Świeczek nie powinno się zakładać na samych końcach gałązek, ale w miejscu gdzie odgałęziają się ostatnie boczne pędy. Zważać też należy, aby świeczki nie były umieszczane wprost pod wyższą gałęzią, która mogłaby ulec zwęgleniu lub nawet zapalić się. Z drugiej strony, pewne rozgrzanie się gałęzi od ciepła świeczek jest nawet — w granicach bezpieczeństwa — pożądane, gdyż drzewko wydaje wtedy żywiczny zapach, który łącząc się z miodową wonią pierników oraz z aromatem jabłek i płonących świeczek woskowych daje typowy zapach choinki, będący składnikiem świątecznej atmosfery.

WANDA RICHARD

TOALETY ŚLUBNE Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH



1174 1175 1176 1177



1170 Suknia z crêpe satin w kolorze blado-niebieskim, dołem wykończona tiulem. Okrycie z mory, przybrane futrem.

1171 Różowa suknia z crêpe chiffon. Górna część w promieniste zakładki, dołem obfity klosz.

1172 Biała suknia z velours chiffon; głębokie wycięcie ozdabiają plisy, a z pod nich wypływają falbanki. Przód i tył spódnicy przybrany wolantem.

1173 Lila suknia z żorżety, przybrana bolerkiem i falbaną.

1174 Suknia z żorżety, przybrana koronką.

1175 Suknia z crêpe satin, przybrana wolantem kloszowym.

1176 Blado-różowa suknia dla drużki, z lekko wzorzystego crêpe chiffon, tkanego z gładkim.

1177 Suknia dla matki Panny Młodej z ciężkiego jedwabiu.



1179 1180 1181



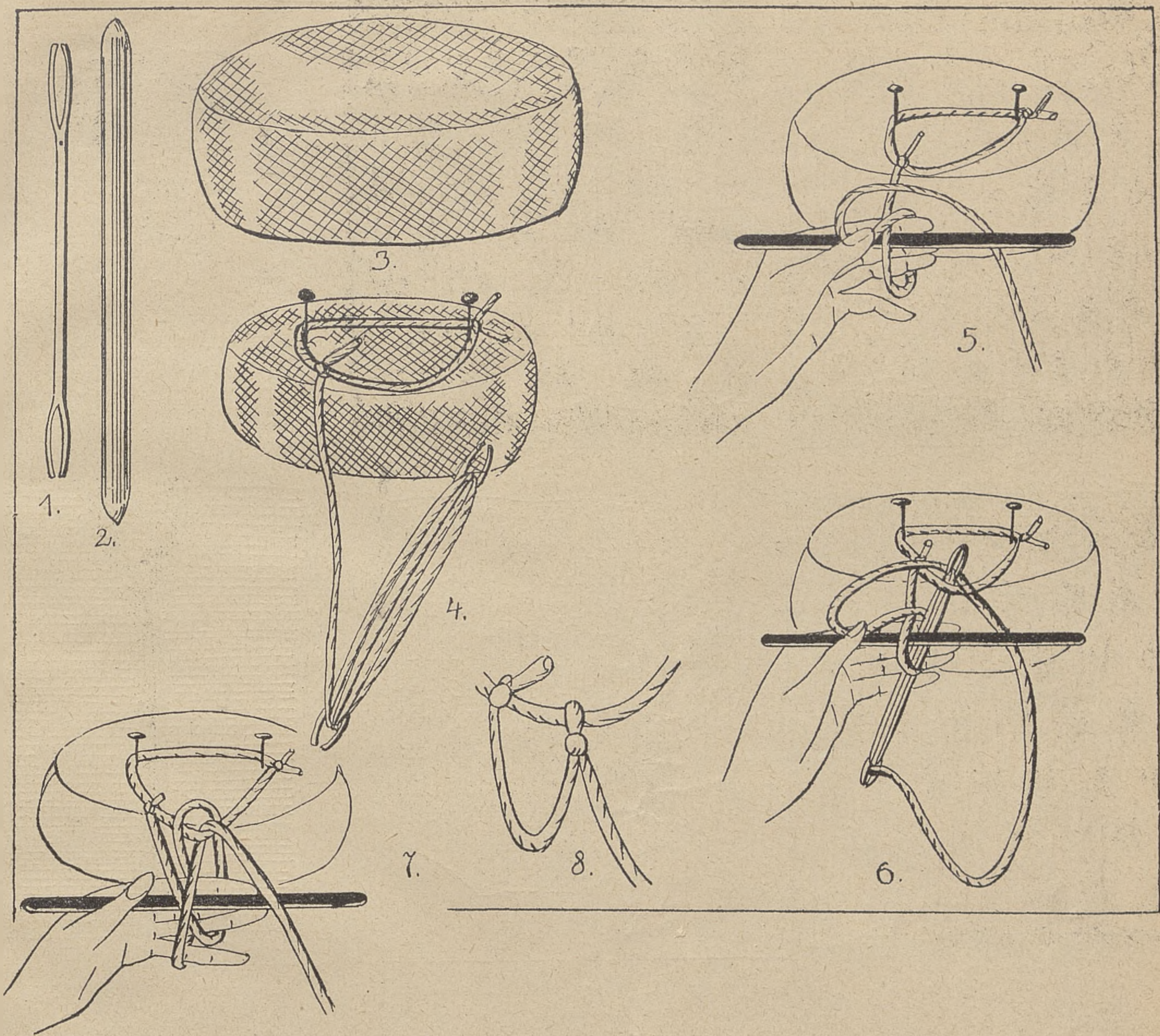
1178 Czarna suknia z crêpe romain, z białym kołnierzem i falbankami na spódniczce, rozmieszczonemi łukowato na biodrach. Dół w obite klosze; fason strojny, wizytowy.

1179 Szafirowa suknia strojna z crêpe de Chine. Szeroka, kloszowa spódniczka wyzakładkowana — biały, stojący kołnierz z crêpe satin, niedbale związany.

1180 Popielata suknia z maroquain, ozdobiona zakładkami, które w sposób dyskretny, a nader wdzięczny i młodociany przybierają ten wytworny model.

1181 Zielona suknia z wełnianej żorżety, przybrana wolantem kloszowym. Na rękawach i staniku partja zakładeczek ułożonych w trójkąt.

KURS ROBÓT SIATKOWYCH



Do najdawniej znanych robót ręcznych należy robota siatkowa. Powstała ona prawdopodobnie już w zamierzchłej przeszłości, kiedy to człowiek usiłował ułatwić sobie łowienie ryb, aż z biegiem wieków prócz celów pożytecznych, zaczęła służyć jako ozdoba. Nauczono się wyszywać ją w misterne sposoby, a że każdy naród wymyślał inne wzory, powstały różne style i różne ściegi.

Obecnie, kiedy roboty ręczne zajmują jedno z pierwszych miejsc między technikami zdobniczemi, cieszy się i siatka szczególną wziętością.

Jakolwiek dostać można gotową siatkę fabryczną, albo ręcznie wiązaną, dużo pań woli sporządzać ją własnoręcznie, tembardziej, że jest to miła i nietrudna robota. Dlatego pokażemy na wstępie sposoby wiązania siatki, a w dalszym ciągu kursu wszelkie sposoby zdobienia jej rozmaitemi ściegami.

Do techniki siatkowej potrzebna jest iglica ze setali albo kości, oraz odpowiedni wałeczek z drzewa, stali lub kości, idealnie gładki. Iglicę dobiera się do grubości nitki, wałek zaś do wielkości oczek, jakie mają powstać. Iglica posiada końce rozszczepione, między które nawija się nici. Dziureczka poniżej rozszczepienia służy do przywiązania początka nitki, rys. 1. Koniecznie potrzebna jest również ciężka poduszka, napełniona piaskiem, rys. 3.

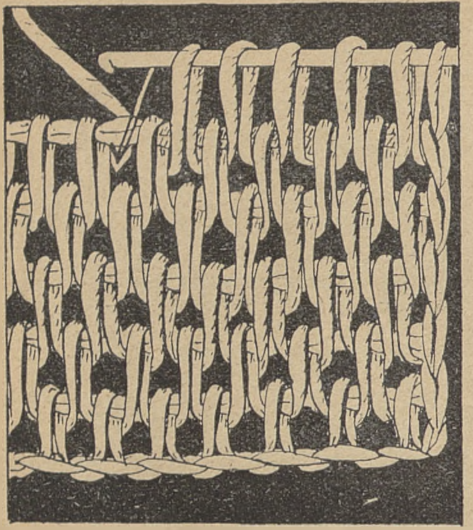
Potrzebna nitka powinna być gatunku nie motającego się łatwo, gdyż częste tworzenie się guzków utrudnia robotę. Odpowiednie są nici lniane do szydełkowania i robót na drutach, bawełna do szydełkowania, szczególnie gatunek kręcony z 6 nitek, oraz bawełna perlé.

Siatkę można wiązać wszerz, jest to sposób najłatwiejszy, jednakże oczka tej siatki ułożone są w kierunku ukośnym. — Trudniej wiązać kwadrat i czworobok, ramki i okrągłą siatkę.

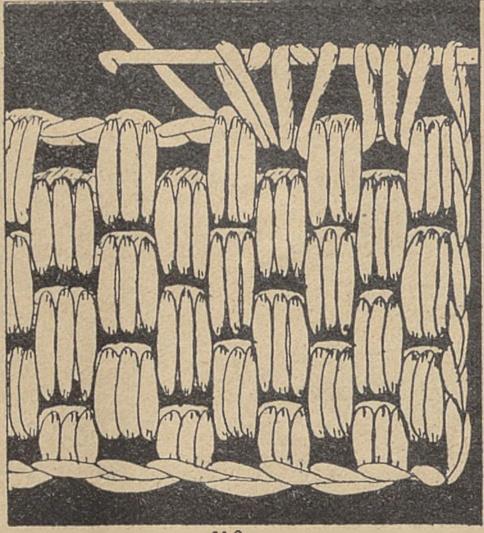
Oczka są zawsze czworokątne. Zaczyna się je z pomocą kółka z silnej nitki, rozpiętego na 2 szpilkach na ciężkiej poduszce, rys. 4. Robota na kółku, przytrzymanem jedną tylko szpilką jest niewygodna. Nitkę przywiązuje się, rys. 4. Następnie trzyma się wałeczek palcem dużym i wskazującym. Przywiązaną nitkę należy kłaść na wałeczek, otoczyć nią 3 palce, włożyć pod duży palec, a potem za wałek, rys. 5. Następnie wsuwa prawa ręka iglicę przez nitkę otaczającą palce lewej ręki, poza wałek do kółka na poduszce, rys. 6. Nitka przytrzymana dużym palcem lewej ręki pozostaje przytem poza iglicą. Przy wyciąganiu iglicy z kółka ku górze nitka otacza mały palec lewej ręki. Gdy jest mocno wyprężona na ręce, puszcza się najpierw nitkę, przytrzymaną dużym palcem, następnie nitkę z 3 następnych palców, a nakoniec z małego palca, rys. 7. Przy tem ostatniem spuszczeniu powinien wałeczek znajdować się tuż przy kółku, a nitka powinna ściśle otaczać wałeczek. Węzełek ściąga się mocno, żeby się przedstawiał jak na rys. 8. Całą czynność wykonywa się początkowo bardzo powoli aż do nabrania dostatecznej wprawy. Dalsze oczka wiąże się w ten sam sposób, przyczem zrobione oczka pozostają na wałeczku, aż osiągnie się odpowiednią ilość. Po skończeniu rzędu wyciąga się wałeczek, robotę obraca się i rozpoczyna drugi rząd, trzymając wałek poniżej poprzedniego rzędu i wiążąc następne oczka do oczek poprzedniego rzędu.

Z. KULCZYCKA

(C. d. n.)

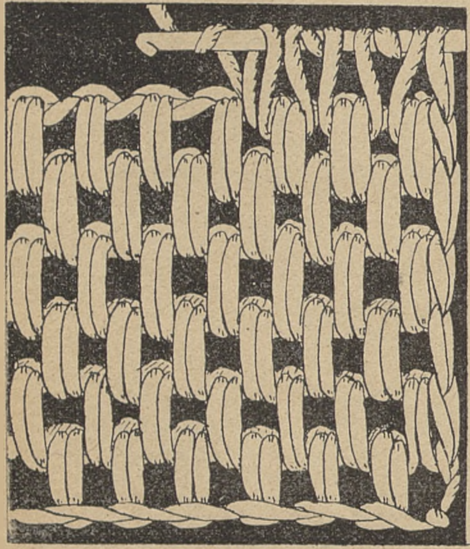


70.

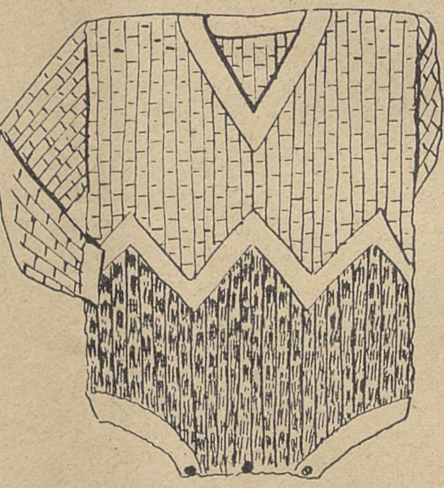


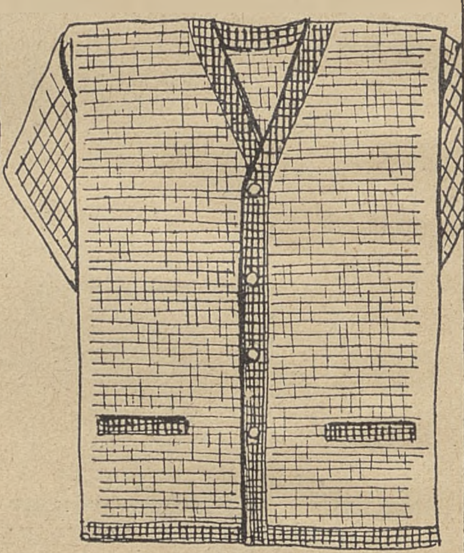
72.





71.





Powszechnie lubiony ścieg tunetański posiada dużo odmian. Dając tkaninę gęstą, nadaje się szczególnie na zimowe okrycia. Zasadniczy ścieg tunetański pokazaliśmy w nrze 4 r. 1930. — Obecnie podajemy inne sposoby. Rysunek 70 uwidocznia ścieg ten robiony pojedyńczo. Nitkę nabiera się poprzez otwory między podłużnemi oczkami poprzedniego rzędu, zbiera się zaś oczka jak zwykle, po 2 razem. Im cieńsze szydełko a im grubsza włóczka, tem gęściej wypadnie tkanina. Szydełko powinno być jednostajnej grubości i dość długie, na końcu zaopatrzone w guziczek.

Druga odmiana tego ściegu, zwanego także pikowanym, jest gęściejsza, grubsza i ozdobniejsza. W każdy otwór wkłuwa się dwukrotnie; po pierwszym razie należy raz nawinąć nitkę, tak, że powstają na szydełku za każdym razem 3 oczka, rys. 71. Przy odrabianiu zbiera się te grupy oczek jak jedno, ale na gotowym ściegu widać tylko po 2 oczka. Przy końcu rzędu przerabia się jak zwykle 2 oczka. Przy ściegu tym należy uważać, że rozpoczyna się rząd naprzemian, raz kłując w otwór pomiędzy ostatniem zebranem oczkiem a pierwszą grupą oczek, to znowu kłując odrazu między pierwszą a drugą grupą; inaczej robota będzie ukośna. Tak samo trzeba pamiętać, że na końcu rzędu kłuje się pomiędzy ostatnie 2 grupy oczek, jeśli rząd zaczął się od otworu między pierwszem oczkiem a pierwszą grupą, albo, że przewleka się nitkę jeszcze przez oczko za ostatnią grupą. — W ten sposób robota będzie prosta, a ilość oczek, wzgl. grup, pozostanie zawsze jednaka.

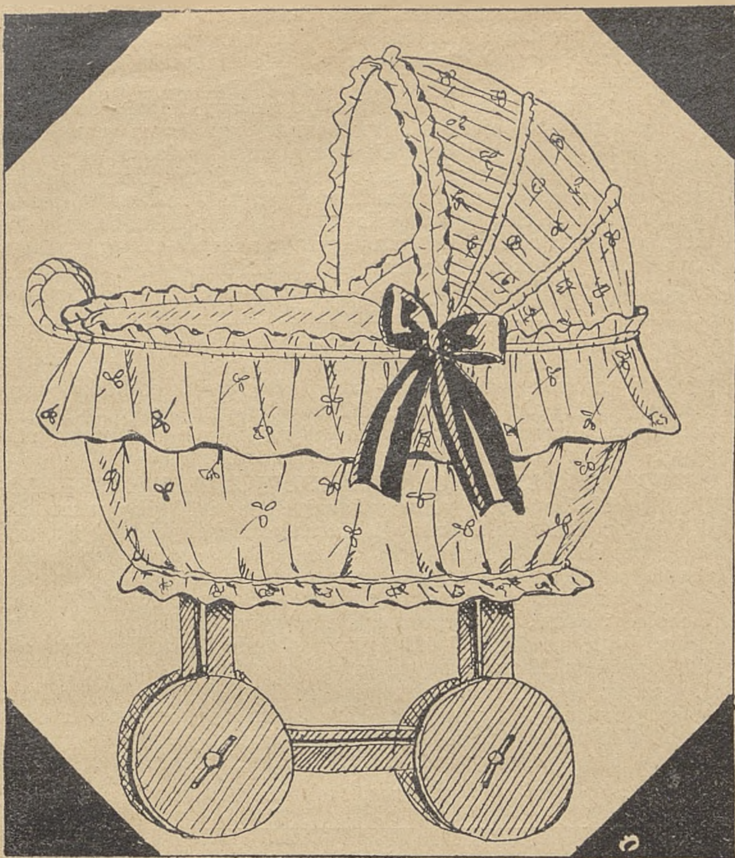
Trzecia odmiana ściegu pikowanego powstaje przez trzykrotne przewlekanie nitki przedzielone dwukrotnem nawijaniem, rys. 72. Postępowanie dalsze jest takie, jak przy poprzedniem, tylko że zamiast 3 oczek, liczy się 5 jako jedno przy przerabianiu.

Zastosowanie tych ściegów jest bardzo rozmaite; szczególnie w obecnym sezonie cieszy się ścieg pikowany dużem powodzeniem. Na berety jedwabne i włóczkowe używa się go bardzo często. Ponieważ nie można wykonywać go wokoło, robi się berety w ten sposób, że zaczyna się u dołu ilością oczek, odpowiadającą objętości głowy, dodając stopniowo tyle, ile trzeba, żeby uzyskać formę beretu. Dodaje się zaś zaczepiając o ten sam otwór po 2 grupy oczek. Należy rozpocząć tak, żeby szew był ztyłu albo zboku niżej spuszczonego. Dodaje się więc w miejscu, w którem beret ma być najszerszy i obfity. Nad czołem nie dodaje się dużo. Ku zakończeniu odejmuje się odpowiednio, a ostatni rząd, który może się składać ze szczupłej ilości oczek, ściąga się przez zmarszczenie. Brzeg należy obrobić jednym albo więcej rzędami ścisłych oczek, dodających mocy. Szew można tak umiejętnie wykonać, że nie widać go zupełnie.

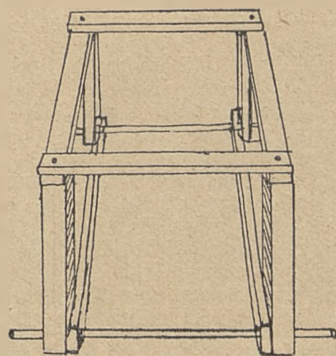
Ubranko dla chłopczyka w 3 kolorach robi się w ten sposób, że nitka nieużyta pozostaje po lewej stronie roboty. Jasne plisy robi się z jedwabiu, albo cieńszej włóczki, żeby nie dodawała tkaninie grubości. Przód i tył robi się oddzielnie i zeszywa po bokach i na ramionach. W kroku zapięcie. Plisy u nogawek, szyi i rękawów robione ścisłemi oczkami.

Męska kamizelka, ściegiem rys. 71., wykończona ciemniejszemi plisami ze ścisłych oczek. Na kieszenie zostawia się otwory w ten sposób, że zamiast przewlekać nitkę w miejscu przeznaczonem na kieszeń, nawija się nitkę tyle razy, ile oczek przechodzi się w poprzednim rzędzie, a przy odrabianiu tych nawiniętych oczek postępuje się jak zwykle. W następnej części kursu uwidocznimy sposoby odejmowania, dodawania i robienia dziurek przy ściegach tunetańskich.

Z. KULCZYCKA









WÓZEK DLA LALKI

Marzeniem każdej dziewczynki jest wózek dla lalki, ale — niestety — niekażda mamusia może spełnić to życzenie, gdyż wózki są stosunkowo drogie. Z zapałem więc weźmie się do dzieła, żeby stworzyć łatwym sposobem a tanim kosztem, ten rozkoszny wózeczek pokojowy. Szkice obok uwidoczniają stelaż z listewek zbity prymitywnie i połączony osiami z drążków, albo z grubego drutu. Drewniane koła nietrudno dostać. Na tym stelażu pomalowanym na czerwono albo niebiesko, spoczywa koszyczek lub pudełko z budką z drutów, a całość przybrana uroczo marszczoną materją i wysłana odpowiednio. Stosowne posłanie i duża kokarda uzupełniają śliczny podarek. Rączka z drutu owinięta łyczkiem.

FUTRZANE KRAWATKI

są ostatnim krzykiem mody. Można je bardzo łatwo uszyć z resztek futra albo z całych skórek. W Almanachu IV, oraz w dawniejszych zeszytach „Świata Kobiecego", dawaliśmy wskazówki dotyczące robót kuśnierskich, dlatego przypominamy tylko, że na wysztukowane i wyciągnięte futro nakłada się płótno albo cienką podszewkę, na to watalinę, którą znowu można przełożyć muślinem, a nakoniec pokryć jedwabną podszewką gładką albo marszczoną.

Na wiązaną krawatkę potrzeba więcej futra aniżeli na przewlekaną. Otwór do przewlekania wykończa się listewką z tasiemki stosownej w kolorze i przyszytej po lewej stronie. Dla umocnienia przyszyć należy mocne płótno bodaj w miejscu zacięcia, jeśli nie dajemy całej krawatki na płótno.

Futro o dłuższej sierści musi się sztukować podług włosa i zeszyć ztyłu w ten sposób, żeby obydwa końce krawatki miały włos zwrócony ku dołowi.

Krój wysyłamy na żądanie. Z. KULCZYCKA



DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

POTRAWY I PIECZYWA ŚWIĄTECZNE. Zupa z ryb z kluseczkami. Oczyścić pół kg ryb dowolnego gatunku i włożyć do wrzącej posolonej wody z włoszczyzną i korzeniami. Po szybkiem zagotowaniu odstawić na bok, żeby ryby doszły powoli. Gdy miękkie, wyjąć, obrać ze skóry i ości i podzielić na dość duże cząstki, które należy włożyć do wazy. Odwar przecedzić i zgęścić odrobiną mąki, którą można rozkłócić w śmietanie. Na tę zupę kłaść drobne francuskie kluseczki, nakoniec dodać posiekanej zielonej pietruszki do smaku i wylać na cząstki ryb w wazie.

FILETY Z RYBY Z WŁOSKIM SOSEM. Na tę potrawę można użyć moczonych ryb morskich albo rzecznych o niezbyt delikatnem mięsie. Zdjąć z nich skórę, wyjąć ości i podzielić na zgrabne filety. Posolić je i pokropić sokiem cytrynowym. Po kwadransie ugotować ostrożnie, najlepiej na ruszcie w wodzie ze szklaneczką wina na 1 kg ryby, dodać soli, skórki cytrynowej, korzeni i cebulę. Na sos przygotować buljon z kości albo postny z włoszczyzny, licząc kwaterkę na 1 kg ryby. Zasmażyć łyżkę mąki bardzo jasno z 6 dkg masła, rozprowadzić buljonem, dodać łyżkę posiekanych kaparków, soli, pieprzu, skórki cytrynowej, kilka posiekanych marynowanych grzybków dowolnego gatunku i szklaneczkę Cherry. Nakoniec rozbić 2 żółtka w łyżce śmietany i zaprawić sos. Wyłożyć filety na gorący półmisek i łyżką nakładać bardzo gęsty sos.

WOŁOWA POLĘDWICA PO WĘGIERSKU. Wyżyłować piękną polędwicę, posolić i naszpikować słoniną paprykowaną, obrumienić, podlać rosołem i dusić do miękkości. Krótko przed podaniem dodać powidełek pomidorowych, papryki i śmietany, przykryć i dusić jeszcze przez chwilę. Podzielić na równe płatki, wyłożyć na ogrzany półmisek; sos zaprawić tymczasem odrobiną mąki i śmietany i przecedzić przez sitko na mięso i do sosjerki. Podać z makaronem.

KACZKA Z KLUSECZKAMI. Nadziać młodą, tłustą kaczkę jabłkami i orzechami, owiązać płatkami słoniny i dusić pod szczelną pokrywką. Po 30 minutach dodać 2 zrumienione skibki bułki, skórkę cytrynową i odrobinę smardzów albo innych grzybów, oraz tyle rosołu, żeby wystarczyło do dogotowania. Uformować małe kluseczki z posiekanej wątróbki, żołądka, serca i płucek z dodatkiem 12 dkg wieprzowiny, soli i posiekanej pietruszki, ugotować i przybrać niemi kaczkę ułożoną na półmisku. Sos zaprawić odrobiną mąki i wina i polać nim kaczkę.

TORT DAKTYLOWY. Utrzeć 7 białek z ¼ kg cukru i łyżką cukru z utłuczoną wanilją. Gdy masa zrobi się sztywna, dodać

Jak odtłuścić i ożywić tłustą cerę?

Z dodatnich wpływów ciepła na cerę wymienić należy działanie wyższej temperatury na tłustą cerę. Osoby o tłustej właściwości cery wiedzą z doświadczenia, iż w porze letniej bywają złagodzone objawy łojotoku twarzy, o ile nie posługują się kremami i nie myją twarzy zimną wodą i mydłem. Ciepło bowiem nietylko pobudza skórę do żywszej przemiany fizjologicznej, ale przetapia też zalegający w porach twardy tłuszcz na postać oleistą. Jeśli ponadto spłókuje się twarz rano i wieczorem gorącą wodą, myje się proszkiem marmurowym „Miraculum" i odtłuszcza odtłuszczającym pudrem higjenicznym Dra Lustra, przeobrazi się tłustą cerę w prawidłową. Z ożywczych środków wolno stosować tylko emulsję biokosmetyczną: mleczko-„Litynę", którą powleka się twarz na 10 minut przed każdem myciem.

1125 Dr ZENON B.

¼ kg tartych migdałów albo orzechów i ¼ kg daktyli pokrajanych w paseczki (ważyć bez pestek). Wyłożyć masę do wysmarowanej tortownicy i piec powoli przez godzinę. Gdy wystygnie polukrować, przybrać orzechami lub migdałami i kremem maślanym ze smakiem waniljowym albo z czekoladą.

TORT Z LASKOWYCH ORZECHÓW Z MASĄ CZEKOLADOWĄ. Ubić sztywną pianę z 8 całych jaj i 40 dkg cukru, dodać ¼ kg obranych i utartych orzechów laskowych, 3 łyżki tartej i przesianej bułeczki oraz skórki cytrynowej i włożyć starannie wymieszaną masę do wysmarowanej formy. Piec powoli przez 30 minut. Tymczasem przygotować masę. Ogrzać 10 dkg czekolady, dodać lekki syrop z 6 dkg cukru, łyżkę tartych orzechów, łyżkę masła, 2 łyżki tartej bułeczki, 1 żółtko oraz sok z ½ cytryny. Mieszać wszystko nad parą, następnie wystudzić. Upieczony i ostudzony tort przekroić dwukrotnie i przełożyć masą. Powlec go lukrem z 15 dkg cukru zagotowanego i utartego, a nakoniec wymieszanego ze sokiem z całej pomarańczy, skórką z jej połowy, oraz z łyżką rumu. Przybrać orzechami i smażoną skórką pomarańczową.

HERBATNIKI Z ORZECHÓW, niedrogie. Utrzeć 1 jajo z 15 dkg cukru, dodać 6 dkg tartych orzechów, łyżkę rumu, korzeni szczyptę, oraz 2 łyżki mleka. Zamiesić ciasto, wywałkować, wykroić wianuszki, posmarować jajkiem i upiec. Składać po dwa wianuszki smarowane marmeladą kwaskowatą.

TORT SEROWY PRZEKŁADANY. Utrzeć 15 dkg masła, dodać ½ kg twardego, tartego twarogu, 3 łyżki obranych i posiekanych migdałów, rodzynków, wanilji utłuczonej z cukrem, 10 dkg miałkiego cukru, 3 łyżki mąki, na koniec noża proszku drożdżowego i pianę z 4 białek. Połowę tego ciasta włożyć do tortownicy, posmarować galaretką owocową, nałożyć resztę masy i upiec.

TOWAROZNAWSTWO

S m a r d z ó w j a d a l n y c h istnieje kilka odmian. Grzyby te są bardzo smaczne. Trzon mają wysoki, wydęty, nakryty małym albo średniej wielkości i wąskim kapeluszem, podobnym do zaokrąglonego lub śpiczastego naparstka. Brzeg kapelusza nierówny, przytykający do trzonka, powierzchnia zaś barwy żółtawej, albo siwej, o ciemniejszych wklęsłościach. Podobny jest s r o m o t n i k b e z w s t y d n y, którego kapelusz bardzo mały i śpiczasty jest osadzony na długim i wydętym trzonie, zwężającym się ku górze, a u nasady tkwiącym w resztce pochwy. Jadalna jest

k o z i a b r ó d k a z rodziny goździarek. Nie posiada właściwego trzona ani kapelusza, tylko wyrasta krzaczasto jak niektóre porosty, albo jak korale. Jest barwy wybitnie żółtej albo białej, miąższ ma giętki i jędrny. Bardzo ceniona jest

t r u f l a z rodziny rdzeniaków. Wyrasta pod ziemią w postaci nierówno kulistej i jest prawie czarna, pokryta guzełkami. W przekroju jest bronzowo-czarna o niebieskawych żyłkach, albo szara o żyłkach czerwoniawo-żółtych. Białe trufle są gładkie o miąższu białym albo szarawym. Trufle trudno odnaleźć, gdyż wyrastają pod ziemią. We Francji, skąd też sprowadzamy najwięcej trufli, tresuje się psy i świnie do odszukiwania trufli, gdyż zwierzęta te znajdują je zapomocą swego węchu. Trufle bowiem odznaczają się bardzo silnym korzennym zapachem i smakiem, który czyni je tak cennemi. Wystarcza odrobina trufli, żeby potrawom nadać wykwintny smak i zapach.

Skupując suszone grzyby należy przyjrzeć się, czy nie są stoczone przez robaki albo owady. Poczerniałe grzyby są podejrzane. Borowiki suszone są barwy brunatnej na wierzchniej stronie kapelusza a szarej pod spodem. Pierwszy gatunek składa się z samych kapeluszy małej i średniej wielkości.

Sproszkowane grzyby powinny być sprzedawane w hermetycznie zamkniętych puszkach, inaczej tracą aromat.

Trufle i pieczarki sprzedaje się w konserwach, gdyż nie nadają się dobrze do suszenia. Borowiki konserwuje się również. Trufle wysyłają zazwyczaj w małych puszeczkach i ściśle ułożone prawie bez soku. Inne grzyby konserwuje się z płynem potrzebnym do ugotowania.

Puszki z konserwą grzybów nie powinny być wydęte, ani otwierać się z sykiem, gdyż jest to dowód tworzenia się gazów w okresie procesu gnilnego.

S u s z o n e j a r z y n y. W handlu widzimy jarzyny sortowane według rodzaju, jak np. zieloną fasolkę, kapustę białą, czerwoną albo włoską, marchew, pietruszkę, kalafjory i t. p., albo mieszane jako t. zw. julienne. Suszone jarzyny powinny być jasne, zbliżone zabarwieniem do świeżych jarzyn. Szary albo brunatny kolor świadczy o tem, że susz pochodzi z nieświeżych jarzyn albo, że został nieprawidłowo sporządzony. Często zdarza się, że nieodpowiednio przechowane suszone jarzyny spleśnieją. Poznać to można po zapachu, nawet gdy kupiec usunie warstwę spleśniałą. Trzeba również uważać, czy nie zagnieździły się robaki i owady, które chętnie żywią się suszem.

K o n s e r w y j a r z y n o w e. Rzadko spotyka się w sprzedaży jarzyny sterylizowane w słoikach, w których widać stan zawartości. Najczęściej sprzedaje się konserwy w puszkach, trudno więc osądzić ich zawartość i trzeba jedynie polegać na reputacji firmy. Ustawa wymaga, żeby użycie farb albo chemicznych środków konserwacyjnych było zaznaczone na etykiecie, co ma na celu ochronę zdrowia konsumentów.

Rozróżniamy konserwy, które są sterylizowane w stanie surowym i które trzeba przed użyciem gotować, oraz konserwy z gotowanych jarzyn, które wystarczy zagrzać i zaprawić odpowiednio. Pierwsze są mniej trwałe.

G r z y b y s u s z o n e. Do suszenia nadają się najlepiej grzyby cewinkowe, a z tych borowiki i kozaki, gdyż mają miąższ jędrny i dość wydatny. Inne cewinkowe suszy się wprawdzie także, ale kurczą się silnie i czernieją i nie są tak aromatyczne. Podpieńki można również suszyć, ale używa się z nich tylko wywaru jako przyprawy, gdyż miąższ jest niewydatny i trocinowaty po ususzeniu.

Grzyby powinno się suszyć w całości nanizane albo same kapelusze. Duże grzyby pokrajane trudno ususzyć, gdyż łatwo gniją.

Puszki powinno się dokładnie zbadać, czy nie zostały uszkodzone, gdyż najmniejsza nieszczelność sprzyja psuciu się. Widocznym znakiem zepsucia zawartości jest wydęcie blachy. Gazy bowiem, wytworzone podczas psucia się konserwy, szukają ujścia i wzdymają puszkę. Gdy przy otwieramiu puszki powietrze uchodzi z sykiem, jest to również znak, że konserwa się psuje.

Takiej konserwy nie należy jeść, gdyż możnaby się zatruć albo conajmniej narazić się na niestrawność.

W słoikach łatwo rozpoznać stan koserwy. Jeśli jarzyna zmieniła kolor, a woda stała się mętna, jest to znak zepsucia, jak również pleśń pokrywająca powierzchnię.

Owoce. Wartość owoców jako pożywienia nie polega na ich pożywności, która jest, wyjąwszy orzechy i niektóre owoce południowe jak np. daktyle, minimalna. Cenimy je z powodu bogactwa soli spożywczych, osobliwie żelaza, cukru gronowego i kwasów działających pobudzająco na narządy trawienia i na nerwy. Niektóre gatunki zawierają ponadto większe ilości witamin, jak np. pomarańcze.

Dzielimy owoce na krajowe i zagraniczne, gdyż część owoców sprowadzamy z południa, oraz z krajów zamorskich. Podział na ogrodowe i leśne da się właściwie tylko do jagód zastosować, gdyż wyjąwszy orzechy laskowe, inne owoce dziko rosnące nie nadają się do spożycia.

Dalej dzielimy owoce według pór roku, w których dojrzewają. W zimie, oczywiście, dochodzą nasze owoce w piwnicy albo w komorze, inne zaś sprowadzamy z ciepłych krajów.

Podział na ziarnowce (jabłka i pokrewne), pestkowe (śliwki i t. p.) jagody i orzechy, używany w botanice, jest ogólnie znany, podobnie jak różnica między owocami deserowemi i kuchennemi.

Znaczną rolę odgrywają dla szerokich warstw ludności jagody, gdyż rosną dziko i mogą być przez wszystkich zbierane. Stosunkowo niedrogie, dostarczają nam nietylko pożywienia odświeżającego w stanie surowym, ale także wybornego materjału na konserwy wszelkiego rodzaju. Pierwsza pokazuje się przy końcu wiosny

poziomka leśna. Jest to owoc soczysty i aromatyczny utworzony z łoża kwiatowego. Krzew rozgałęzia się szybko z pomocą odnóżek i tworzy często całe pasma wzdłuż lasu albo gościńca. Poziomki ogrodowe są większe ale mniej aromatyczne. Odmiana biaława znana pod nazwą ananasowej.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

K. L. — Redakcja „Świata Kobiecego“ nie wydaje ocen literackich, nie może więc spełnić życzenia Pani. Z wierszy nadesłanych korzystaćby nie mogła.

L. G. STRZEMIESZYCE. — Zainteresowanie Pani dolą Polaków w Legji Cudzoziemskiej cieszy nas serdecznie. Adresy były już kilkakrotnie podawane w „Świecie Kobiecym“, ale postaramy się o nowe. Ponieważ przesyłki, z wyjątkiem książek, często przepadały lub też przychodziły z dużem opóźnieniem, radzimy wysłać pieniądze na ten cel przeznaczone pod adresem: Mme Helena Vincent St. Dizier, Oran, Algérie, Centre de Mobilisation d'Artillerie d'Afrique. Pani Filochowska zajmie się na miejscu zakupnem rzeczy najpotrzebniejszych i urządzeniem Gwiazdki. Pieniądze dochodzą prędko i pewnie, a nawet najskromniejsza kwota będzie mile widziana. Oprócz pieniędzy należy wysłać listy z życzeniami i ciepłem słowem. Choć bez imiennych adresów, rozdane będą odpowiednio.

K. K. — Liszaj trwający kilka lat jest chorobą, z którą trzeba udać się do lekarza specjalisty. To samo odnosi się i do plam. Redakcja zaznacza stale, że nie zajmuje się leczeniem, czego jej zresztą nawet nie wolno.

Nakrycia i przybory stołowe posrebrzane. Niemałem, kłopotliwem zagadnieniem dla pani domu jest harmonijne dopasowanie nakryć i przyborów do stołu. Naturalnie mowa o platerowanych srebrem, więcej higjenicznych niż inne rodzaje. Na prowincji trudno jednak wybrać sobie odpowiedni fason lub styl grubo srebrzonych łyżek, widelców, noży i t. p. — przeto dla ułatwienia czytelniczkom wyboru zwracamy w Nrze 23 Ich uwagę, iż według zamieszczonych ilustracji (patrz ogłoszenie w Nrze 23) przez fachowe przedsiębiorstwo dla nakryć i przyborów posrebrzanych „Stylplater“ w Zakopanem ul. Zamojskiego, można zamówić w tej firmie odpowiedni garnitur. Jak zaś wynika z korespondencji klientów do powyższej firmy, o czem mieliśmy możność przekonać się, zasługuje ona na zupełne zaufanie. Niestety firma nie uwzględnia zamówień na spłaty ratami, ze względu na specjalnie niskie ceny.

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA:

M. KONOPNICKA: W domu i świecie. — Wesołe i pogodne wierszyki, pięknie ilustrowane przez A. Gawińskiego, przeznaczone są dla starszej dziatwy, w której potrafią obudzić szlachetne uczucia altruistyczne.

OR-OT: Światek dziecięcy, wybór wierszyków z 40 rys. W. Romeykówny. Zbiór milutkich i łatwych a wesołych wierszyków dla młodszych dzieci, oczaruje je i porwie humorem i pogodną nutą, w czem niemałą zasługę przyznać trzeba świetnej ilustratorce.

JANOWSKI ALEKSANDER: Nasz plac. IV wydanie. — Książka, jakolwiek o podkładzie pedagogicznym, napisana jest tak leko i barwnie, że stanowi ulubioną lekturę młodzieży. Jest to opowiadanie o gromadce warszawskich dzieci, którym zabrano „ich plac“ zabawowy na budowę kamienic. Po krótkiej rozpaczy, przybyło im dużo nowych radości i rozrywek w obserwowaniu budowy i w obcowaniu z robotnikami. Mnóstwo wiadomości krajoznawczych poucza dzieci, że „naszym placem“ jest dla nich właściwie cała Ojczyzna.

E. MARLITT: Złota Elżunia, powieść, IV wyd. — Niezmiernie zajmująca treść tej powieści o dobrej dziewczynce będzie zawsze pożądaną lekturą dla światka dziewczęcego, pełnego entuzjazmu dla wszystkiego co szlachetne, piękne i wzniosłe.

P. C. WREN: Beau Geste, z ang. przeł. J. Taplor. — Książka o miłości i poświęceniu braterskiem wzrusza i zaciekawia w niezwykły sposób. Treść osnuta na tle egzotycznem, gdyż akcja toczy się w Afryce w szeregach francuskiej Legji Cudzoziemskiej, obfituje w momenty pełne grozy i tajemniczości. Lektura tej powieści poruszy zapewne gorąco serca Czytelniczek „Świata Kobiecego“, które tak serdecznie i wymownie współczują doli tych „straceńców“.

CALVET J.: O twórczości i krytyce katolickiej. Z przedmową Artura Górskiego. — Książka Calveta wnosi nowy problem do krytyki literackiej: sumienia, odpowiedzialności moralnej krytyka wobec autora, dzieła i społeczństwa. Ze szczególnym naciskiem pisarz francuski zaznacza niedopuszczalność w krytyce anatemy, t. j. osławiania autora jako religijnie nieprawomyślnego, co nie wchodzi w zakres obowiązków krytyka. Rzecz skreślona jest piórem lekkiem, nieco sarkastycznem i porusza tyle zagadnień żywotnych i na naszym gruncie aktualnych, że czyta się ją z prawdziwą przyjemnością.

„SALAMANDRA"

SPÓŁKA SPRZEDAŻY OBUWIA Z O. O.

KRAKÓW, FLORJAŃSKA 18 — LWÓW, LEGJONÓW 11

KATOWICE, ŚW. JANA — GDAŃSK, LANGGASSE 2



1138

WYROBY MARKI

„TRETORN"

CIESZĄ SIĘ DUŻEM POWODZENIEM U WYBREDNYCH NAWET KLIENTEK. POZA STARANNĄ FORMĄ, DO GŁÓWNYCH ZALET TYCH WYROBÓW NALEŻĄ EFEKTOWNE NOWE KOLORY I PIERWSZORZĘDNE WYKONANIE.

NA GWIAZDKĘ **NA GWIAZDKĘ**

WAŻNE WZNOWIENIA

KSIĄŻEK DAWNO WYCZERPANYCH

1155

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

B. Dyakowski

NASZ LAS I JEGO MIESZKAŃCY

Przyrodnicza opowieść, ścisła, a miła i zajmująca, wydanie V-te, odnowione, z 63 wspaniałemi ilustracjami Kamila Mackiewicza
W pięknej, kolor. okładce zł 12·—, w oprawie płóc. zł 17·—

J. Popławski

O STAROŻYTNYCH PÓŁBOGACH I BOHATERACH GREKÓW I RZYMIAN

Mitologja opowiedziana na tle Iljady, Odyssei i Eneidy. Z 45 czarnemi rycinami i 12 kolorowemi tablicami.
W oprawie kartonowej zł 11·—

NOWOŚCI I NOWE WYDANIA:

Dla dzieci i młodzieży:

Buyno-Arctowa M.: Kazia Duża. Powieść. Wyd. III. Z ryc. W. Romeykówny. W oprawie . . . . 8·—
— Perły Księżniczki Maji. Czarowna baśń. Wyd. II. W oprawie . . . . 8·—
— Serca i Serduszka. Powieść. W oprawie . . . 8·—
— Wyspa Mędrców. Powieść. 640 str., 118 rycin, 4 tomy po 4·50; całość w 1 tomie, w oprawie 20·—
Białynia E.: Powstanie listopadowe. Wyd. V. Brosz. 2·—
W oprawie 3·—
Gomulicki W.: Życie dla Ojczyzny. Powieść. Wyd. IV. W oprawie . . . . 8·—
Janowski A.: Nasz plac. Opowiadanie krajoznawcze. Wyd. IV. W oprawie . . . . 4·50
Konopnicka M.: W domu i świecie. Książka obrazkowa. Z rycinami A. Gawińskiego. W oprawie 4·—
Or-Ot: O Jasiu Dręczycielu, O Józiu Gapicielu. Książka obrazkowa. W oprawie . . . . 3·—
— Światek Dziecięcy. Wybór wierszyków. 240 ryc. W. Romeykówny. W oprawie . . . . 3·—
Zajmujące czytanki. Serja powiastkowa. Prospekt z 48 obrazkami na żądanie. Każdy tomik w kolorowej okładce po . . . . —·70

Dla młodzieży i dorosłych:

Arct M.: Własny tor. Poezje. . . . . 4·—
Demicz W.: Groza. Powieść historyczna. Od Konstytucji 3 Maja do rzezi Pragi . . . . . . 8·—
Grey Zane: Tor stalowego smoka. Powieść na tle przygód przy budowie pierwszej kolei od Pacyfiku do Atlantyku. Broszurowane . . . . 6·40
W ozdobnej oprawie 8·80
Miciukiewicz T.: Tajemnice Ekranu. Opowiadania o filmie i o ludziach filmu. Z 53 portretami . . 9·—
Piekarski St. Dr.: Prawdy i Herezje. Encyklopedja wierzeń wszystkich ludów i czasów. . . . . 36·—
W oprawie 40·—
Śliwiński A.: Powstanie listopadowe. Wyd. IV, na papierze bezdrzewnym; broszurowane . . . . 7·50
W oprawie płóciennej 10·50
W oprawie w białe płótno z czerw. nap. 11·—
Wreen P. C.: Beau Geste. Powieść na tle życia w afrykańskiej Legji Cudzoziemskiej. Broszurowane . 6·40
W ozdobnej oprawie 8·80
Wright S. F.: Nowy Potop. Powieść bardzo ciekawa i oryginalna o zatopionej Anglji . . . . . . 10·—

ILUSTROWANY KATALOG BEZPŁATNIE

M. ARCT

WARSZAWA NOWY ŚWIAT 35

CZYTAJCIE I PRENUMERUJCIE „ŚWIAT KOBIECY“

OSTRZEŻENIE!

Wobec pojawienia się w handlu falsyfikatów wyrobów kosmetycznych

„Venetian" Elizabeth Arden

zawiadamiamy, iż prawdziwe preparaty firmy londyńskiej **Elizabeth Arden** sprzedaje się we Lwowie nadal **tylko** w naszym sklepie.

1153

A LA VILLE DE PARIS

GABRYEL STARK

LWÓW, PL. MARJACKI 11

1029

Herbata Riedla

Lwów, ul. Rutowskiego l. 3

Inserujcie w „Świecie Kobiecym"

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**
Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3
Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34